BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:		Z przesyłką pocztową:	
Rocznie . (52 tomy).	rs. 10	Rocznie. . (52 tomy)	rs. 12
Półrocznie (26 tomów)	„ 5	Półrocznie (26 tomów)	„ 6
Kwartalnie (13 tomów)	„ 2 kop. 50	Kwartalnie (13 tomów)	„ 3

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart.

Cena każdego tomu 25 kop.

W skład „Biblioteki dzieł wyborowych“ wchodzą dzieła następujących kategoryj:

1. **Arcydzieła literatury powszechnej,**
2. **Dzieła beletrystyczne** (powieści, poezye, podróże, najbardziej cenionych autorów naszych i zagranicznych),
3. **Dzieła historyczne,** szczególniej pamiętniki i opowiadania, dotyczące naszej przeszłości,
4. **Dzieła popularno-naukowe** ze wszystkich dziedzin wiedzy współczesnej.

WYDAWCA
Saturnin Sikorski.

ZA REDAKTORA
Klemens Szaniawski.

Druk. Artyst. Saturnina Sikorskiego, Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Января 1898 г.

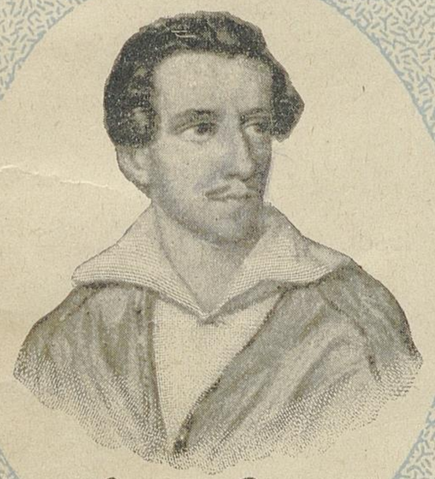
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.
№ 18.

Poemata

Juliusza Słowackiego

z przedmową

Piotra Chmielowskiego.



Juliusz Słowacki

Cena 40 kop.

W prenumeracie 30½ k.

WARSZAWA.

Redakcya i Administracya:

47. Nowy-Świat 47.

1898.

POEMATA.

K.
R. 27
17.1.47.

89.85-1

Juliusz Słowacki.

POEMATA

Z PRZEDMOWĄ

Piotra Chmielowskiego.

GODZINA MYŚLI.
W SZWAJCARYI.
OJCIEC ZADŻUMIONYCH. W El-Arisch.
WACŁAW.
PODRÓŻ DO ZIEMI ŚWIĘTEJ Z NEAPOLU. (Poemat niedokończony. 1836 r. Wydanie pośmiertne)

WARSZAWA.
Drukarnia Artystyczna
Saturnina Sikorskiego.
47. Nowy-Świat. 47

KSIĄŻNICA PODLASKA
im. Łukasza Górnickiego
Nr 46114
KS. ARCHIWALNY
w Białymstoku

Miejska
15314
Białystok

884-1

Дозволено Цензурою.

Варшава, 9 Января 1898 года.

Poemata J. Słowackiego.

Utwory Słowackiego, pomieszczone w tym tomie, mają tę cechę wspólną, że w sposób przejmujący malują ból, cierpienie, rozpacz, a jeżeli nawet kiedy, jak w urywkach „Podróży do Ziemi Świętej,“ ukaże się uśmiech, to jest on zazwyczaj gorzki, sarkastyczny, wywołany przygnębiającem spostrzeżeniem, że ludzie, zwykli „zjadacze chleba,“ nie dorośli do miary idealnej i mnóstwem skaz duchowych są zeszpeceni.

„Godzina myśli“ to poemacik najściślej biograficzny; skreślił w nim poeta swoje marzenia młodociane, swoją przyjaźń z Ludwikiem Szpitznaglem, który zginął z własnej ręki, swoją miłość pierwszą do starszej od siebie Ludwiki Śniadeckiej, swój ból spowodowany odrzuceniem tej miłości.

Po tej młodocianej jeszcze pracy nastąpiły dal-

sze, w których wielki talent rozwijał się coraz świetniej.

Poemat „W Szwajcaryi“ jest jedynym w całej literaturze europejskiej, prześlicznym obrazem krótkich upojeń i długich smutków, wynikłych z miłości, mającej swe źródło raczej w bogatej, tęczowej wyobraźni, aniżeli w sercu. Całość przedstawia się nam jako pełna melancholii spowiedź, w której jaśniejsze, a nawet najjaśniejsze chwile widzimy poprzez rozłzawioną kaskadę smutków. Poeta nie zachwyca się ani pięknością ciała, ani szlachetnością duszy kobiety ubóstwianej i opłakiwanej; on w niej dostrzega tylko główną przyczynę błogiego lub melancholijnego nastroju, w jaki zapada. Są tu wprawdzie wzmianki o pocałunkach, ale pocałunki te — takie jakieś eteryczne, jakby tylko w świecie wyobraźni się całowano. Rumieniec zamienia czasami twarz ukochanej kobiety w róże, ale to chyba jedynie dla rozmaitości kolorów, ażeby najdroższa nie wyglądała ciągle jak lilia biała. Poeta sam powiada, że właściwie to tylko „fala niewierna, a tak wierna“, w której kochankowie się przeglądali, zbliżyła ich do siebie, chociaż łączyły ich tylko wyrazy; ona - to, „taka szalona i pusta“, że spoiła nawet usta kochanków, choć sercem tylko byli związani. Piękne otoczenie, wśród którego poeta widzi ukochaną, stanowi jakby nieodzowną część jego miłości; ztąd te cudne obrazy tęczy na burzy w pa-

rowie, księżyca, szumu kaskady, melancholijnego pejzażu.

W „Ojcu Zadżumionych“ mamy sytuacyę przypominającą posąg Laokoona i grupę Niobidów. Trudno pomyśleć sobie nawet, ażeby można z większą siłą, potęgującą się wraz ze śmiercią każdego następnego dziecka, oraz z większą prawdą oddać boleść ojca, tracącego jedną pociechę po drugiej w głuchej pustyni, bez żadnego współczującego serca, bo rozgoryczona małżonka ani może, ani chce przynieść ulgi cierpiącemu męki mężowi. Wybrać taką sytuacyę i nie znużyć nią czytelnika; pozbawić swój poemat wszelkiego zawikłania i urozmaicenia, a jednak obudzić szczerą sympatyę dla bohatera; dotykać najboleśniejszych strun i wydobywać z nich tony najwyższe, a jednak nie przesadzić — to mógł tylko zrobić taki talent genialny, jak Słowackiego, umiejący się w szczęśliwej, wyjątkowej chwili przejąć cierpieniami i umiejący im nadać wyraz pełen siły, ale i miary zarazem.

Po tych trzech arcydziełach epickich Słowackiego dajemy dwa utwory słabsze jako całość, lecz posiadające w sobie piękności pierwszorzędne. Są to: „Wacław“ i „Podróż do Ziemi Świętej“.

„Wacław“ miał być w myśli Słowackiego dalszym ciągiem i dokończeniem „Maryi“ Malczewskiego. Być może, chciał poeta wskazać, że tragicznie zakończone dzieje pierwszej miłości Wacława

zasiały w duszy jego złe ziarna, które rozrastając się, przygłuszyły wszystko, co w nim było dawniej szlachetnego i wzniosłego, i że starość jego samotną i bolesną uważać należy za straszną ekspiacyę grzechów popełnionych w tej drugiej fazie życia. Ożeniony po raz trzeci z kobietą przewrotną i cyniczną, co urągając jego słabości, jawnie się popisuje swojem wyuzdaniem, umiera Wacław w strasznem przypuszczeniu, że go żona struła napojem, w który prochy jego przodków wmieszała.

„Podróż do Ziemi Świętej“ miała być rozległym poematem, przedstawiającym wrażenia, jakich doznał Słowacki w ciągu swojej wycieczki z r. 1836. Nie wykończył go jednak poeta wcale. Do nas doszły tylko następne pieśni: I, III, IV, V, VI, VII; z dwu następnych są tylko drobne urywki, z których najpiękniejszym jest „Grób Agamemnona“. Pod względem tonu „Podróż“ wyróżnia się od wszystkich poprzednich poematów i jest zapowiedzią „Beniowskiego“. Ton ten jest żatobliwo-sarkastyczny; sposób pisania pełen *dygresyj*, t. j. odstąpień od tematu dla wypowiedzenia nastręczających się poecie uwag. W usposobieniu Słowackiego występuje tu po raz pierwszy wybitna zmiana. Przyjrzawszy się w życiu rozmaitym karykaturom bajronicznego nastroju, goniącym za coraz to nowemi wrażeniami, dramatyzującym śmiesznie przygody swoje, pozującym niezdarnie na osoby poetyczne, Słowacki wyśmiał je i wydrwił. Atoli obok satyry gryzącej znajdujemy tu najtkliwsze ustępy, w których czuć żal poety, z powodu rozstawania się ze swemi dawnemi ideałami pochodzący. Ta mieszanina sarkazmu i rzewności ma właściwy sobie a potężny urok, oddziaływający na każdą duszę, w której uczucie i fantazya nie zostały przytłumione przez chłodny, rachunkowy rozsądek, dobry w interesach praktycznych, ale nie przy ocenie twórczości wielkich poetów.

Piotr Chmielowski.

GODZINA MYŚLI.

GODZINA MYŚLI.

Głuche cierpiących jęki, śmiech ludzki nieszczery,
Są hymnem tego świata — a ten hymn posępny,
Zbłąkanemi głosami wiecznie wniebowstępny,
Wpada między grające przed Jehową sfery,
Jak dźwięk niesfornej struny. Ziemia ta przeklęta,
Co nas takim piastunki śpiewem w sen kołysze.
Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę,
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta.

Trzeba życie rozłamać w dwie wielkie połowy —
Jedną godzinę myśli trzeba w przeszłość wrócić!
I przeszłość, jako obraz ściemniały i płowy,
Pełny pobladłych twarzy, ku słońcu odwrócić —
I ścigać okiem światła obrazy i cienie,
Jak lśniące rozpryśnionych mozajek kamienie.
Tam — pod okiem pamięci — pomiędzy gór szczytem,
Piękne, rodzinne miasto wieżami wytryska
Z doliny. wązkim nieba nakrytej błękitem,
Czarowne, gdy w mgle nocnej wieńcem okien błyska;
Gdy słońce rzędem białe ukazuje domy,
Jak perły szmaragdami ogrodów przesnute.
Tam zimą lecą z lodów potoki rozkute,
I z szumem w kręte ulic wpadają załomy.

Tam stoi góra, Bony ochrzczona imieniem,
Większa nad inne — miastu panująca cieniem;
Stary — posępny zamek, który czołem trzyma,
Różne przybiera kształty — chmur łamany wirem;
I w dzień strzelnic błękitnych spogląda oczyma,
A w nocy jak korona, kryta żalu kirem,
Często szczerby wiekowe przesuwa powoli,
Na srebrzystej księżyca wschodzącego twarzy.
W dolinie mgłą zawianej, wśród kolumn topoli,
Niech blade uczuć dziecko o przyszłości marzy;
Niechaj myślami, z kwiatów zapachem ulata,
Niechaj przeczuciem szuka zakrytego świata;
To potem wiele dawnych marzeń stanie przed nim,
I ujrzy je zmysłami, pozna zbladłe mary.
Karmił się marzeniami, jak chlebem powszednim,
Dziś chleb ten zgorzkniał, piołun został w głębi czary,
Do szkieletu rozebrał zeschłe myśli ciało,
Odwrócił oczy — serce już myśleć przestało.

Gdy lampa gaśnie, kiedy pieśń piastunek ścicha,
Kiedy się małe dziecko z kołyski uśmiecha,
Ma sen całego życia. — A gdy tak przemarzą,
Dzieci na świat nieznany smutną patrzą twarzą,
I bladem przerażają czołem od powicia;
Smutne pomiędzy ludźmi — bo miały sen życia.

Wśród Litewskiego grodu, w ciemnej, szkolnej sali.
Siedziało dwoje dzieci — niezmieszani w tłumie.
Oba we spółzawodnej wykarmieni dumie,
Oba wątłej postaci, marmurowo biali.
Młodszy wiekiem nadzieje mniejsze zapowiadał,
Pierś mu się podnosiła ciężkiem odetchnieniem;
Włos na czole dzielony na ramiona spadał
I po nich czarnym, gęstym sypał się pierścieniem,
Widać, że włos ten, co dnia ręką dziewic gładką
Utreſiony, brał blaski dziewiczych warkoczy,
Ludzie nieraz „on umrze“ mówili przed matką;

Wtenczas matka patrzyła długo w dziecka oczy,
I przeczyła z uśmiechem — — Lecz w smutku godzinie,
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
Lękała się nieszczęścia i myśląc o synie,
Nie śmiała wyrzec: niech się dzieje wola Boga,
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie.

Wśród ciemnej, szkolnej sali, było drugie dziecię:
Włos miało jasny, kolor oczu lazurowy,
Ludzie na niem nadzieje budowali szczytne.
Pożerał księgi, mówił jak różne narody;
Do licznych nauk dziwnie palące czuł głody,
Trawił się — jego oczy ciemne i błękitne,
Jak polne dzwonki łzawym kryształem pokryte,
I godzinami myśli w nieruchomość wbite,
Tonąc w otchłań marzenia, szły prostemi loty,
Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty.
Gdy patrzył w niewidziane oczyma obrazy,
Ludzie obłędność w oczach widzieli — lecz skazy
Żadnej dostrzedz nie mogli. Młoda pamięć obu,
Ogromna pamięć, z myśli uwita łańcucha,
Świadczyła o istności przedżywotnej ducha —
A przeczuciami życie widzieli do grobu.
I nic ich nie dziwiło, co z lat poszło biegiem,
I smutni nad przepaści życia stali brzegiem,
Nie odwracając lica. W ciemnej, szkolnej sali,
Smutna poezya duszy dała dźwięk uroczy:
Na ciemnych, mglistych szybach zawieszając oczy,
Wiosną — wśród szmeru nauk, myśleniem słuchali
Szmeru rosnących kwiatów. A w zimowe pory
Biegli na błonia białym pogrzebane śniegiem:
Tam prędkim po równinach zadyszani biegiem,
Twarze, umalowane zimnemi kolory,
Obracali na stronę, zkąd przyjść miała wiosna,
I pierwszy powiew pili ustami, jak życie.
Potem, gdy w wiosennego powietrza błękicie,
W balsamy się rozlała czarna lasów sosna;

Znudzeni wonią kwiatów zmieszaną, stokrotną,
Wynaleźli woń tęskną — dziką i ulotną:
Była to woń wierzbami opłakanej wody;
Z cichej fali wstawała każdego wieczora,
Tajemnicze w powietrzu rozlewając chłody.
Potem jesienią — dzieci wyobraźnia chora,
Wypalona, igrała z żółtym liściem lasów,
Smutna, jak w starcach pamięć przeminionych czasów.

Serce każdego równą miarę uczuć trzyma,
Smutna poezya duszy oba serca żywi;
Lecz wrażeniami duszy odmiennie szczęśliwi,
Odmiennie czuli. Dziecko z czarnemi oczyma,
Młodsze wiekiem, natchnieniom dało myśl skrzydlatą,
I wypadkami myśli żyło w siódmem niebie.
Młodszy marzenia stroił czarnoksięzką szatą,
A potem silną wolą rzucał je przed siebie —
I stawały — i widział przed sobą obrazy,
Od których się odłamał zimniejszym rozumem:
Więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy,
Że się zapozna myślą z myślnym ludzi tłumem.
Przed sobą miał krainę duchów do zdobycia.
Jego towarzysz, większy nauką i laty,
Nigdy od krain myśli nie odłamał życia;
Sprzągł razem i powiązał dwa niezgodne światy,
I nieraz go śmiech ludzi, śmiech co czucia głuszy,
Budził i rzeczywistość zimna roztrącała,
Jako posągom nieraz braknie w rysach duszy,
Posągom jego myśli brakowało ciała.
Dusza, jak w kryształowem zamknięta przezroczu,
Patrzyła na świat dzikiem obłąkaniem oczu,
Niezupełności wrażeń łamana katuszą.

Nieraz te dzieci, myślą dwoistą i duszą,
Składali jedne, piękne całością, obrazy.
W dnie wiosenne, przy ścieżce piaskowej, na kwiatach,
Gdzie nad niemi różowe rozkwitały ślazy.

Gdzie wiśnie, jak dziewice, w białych wiosny szatach,
Między zarumienione kryły się jabłonie;
Tam wzajem na ramionach opierając skronie,
Zamieniali słowami uczucia wzajemne,
Oni marzeniem księgi rozumieli ciemne,
Nie rozumiejąc myślą. Z dziecinnego piasku
Na księgach Swedenburga budowali gmachy,
Pełne głosów anielskich, szaleństwa i blasku —
Niebu Tytanowemi grożące zamachy.

Przez tworów państwa snuli myślą dwa łańcuchy,
W światło zbite u góry, w ciemność spodem zlane —
Tych ogniwa, jak szczeble wschodów połamane,
Wiodą w światło idące, albo w ciemność duchy —
I świat tworów, w dwa takie rozłamany ruchy,
Wiecznie krąży. A dusza z iskry urodzona,
Różnem życiem przez wieki rozkwita — i kona
Przez długie wieki, biorąc kształty różnych tworów —
W kwiecie jest duszą woni i treścią kolorów,
W człowieku myślą, światłem staje się w aniele,
Raz wstępnym pchnięta ruchem, ciągle w Boga płynie,
W doskonalszem co chwila rozkwitając ciele.
Człowiek się silną myślą w anioła rozwinie —
Ten anioł zachwyceniem w światło się rozleje,
I będzie częścią Boga na żywiołów tronie,
Lecz męty ziemskie w światła osiadają łonie,
Jak o spadłych aniołach święte uczą dzieje.
Ziemskiemi sny ścigani — grzeszą myślą dumy.
I co dnia, z łona Boga, dusz zagasłych tłumy
Lecą na ziemię, jak gwiazd zepchnięta lawina.
Każda się w kształty ziemskie kryształi i ścina,
I rosnącym ciężarem w bieg strącona skory,
Przechodzi w ludzkie, czuciem zardzewiałe twory;
I będzie jadem w gadzie, a trucizną w kwiecie. —
Patrząc na tłumy ludzi na tym ciemnym świecie,
Oni widzieli: którzy z łona Boga spadli,
I po schodzących szczeblach szli w otchłań — i bladli.

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr ..... KS. ARCHIWALNY w Białymstoku
Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku

W duszy dziecinnej, woli czarnoksiężka siła,
Ciągłem myśleniem, ciągłem rozwijana snuciem,
Niewyjawiona słowy — często w ludzi biła:
Zaczarowanie wolą, nazwali — zaczuciem.
Bo nieraz wśród ciemnego tłumami kościoła,
Którą, z klęczących dziewic natrafiwszy losem,
Wołali na nią silnie niemym duszy głosem;
Wtenczas twarz odwracała od Pańskiego stoła,
I pośród tłumu ludzi, jej wzrok w zadziwieniu,
Nieobłędnie rzucony, na twarz dzieci padał,
Jak gdyby na wołanie duszy odpowiadał;
Jak gdyby ją po znanem wołali imieniu.

Nieraz starszy, błękitne topiąc w ziemię oczy,
Mówił: „Słyszysz mój luby, jak obecna chwila
Pada w przeszłość, rzucając dźwięk tęskny, uroczy?
Ona nigdy nie wróci, ona nas nachyla
Smutniejszemi twarzami w przeszłość upłynioną!
Szczęśliwy! twoje myśli świetniej w słowach płoną,
Niż gdy w sercu zamknięte — moje myśli gasną,
Słów nie cierpią — lecz nieraz w godzinie tajemnic,
Tłumnemi słowy w piersiach jak szatany wrzasną,
I wołają, ażebym je wypuścił z ciemnic;
Abym je wywiódł na świat—słów otworzył drogę.
Niech mi świat da poezyę — dać mu jej nie mogę.
W tłumie myśli mam przepaść wiecznie czczą myślami —
Przepaść ciemną, głęboką; napełnię ją życiem —
Jeżeli nie wystarczy? biada! ciągłem gniciem,
Myśl się martwa przekształci, ciemnością i łzami —
Stanę się myśli grobem — lub umrę przedwcześnie.
Słuchaj! wschodnie krainy dziś ujrzałem we śnie:
Piękne były, czarowne, nieraz o nich marzę.
Widzę słońcem ściemniałe Beduinów twarze,
Widzę lasy palmowe, świadki dawnych czasów;
Myśl moja, niewstrzymana, w te krainy goni!

Chciałbym jak duch w kwiecistej roztopić się woni;
Chciałbym jak liść nieznany paść tam w głębi lasów."

Gdy tak marzył — to wiśnie i kwiaty ogrodu,
Bezwonne przed nim rosły, bo myśl dalej biegła,
I wkrótce marzeniami ognistemi wschodu,
Zamknęła go w płomieni kole i obległa.
Więc pojechał do wielkiej na północ stolicy,
Gdzie długo patrzył w Koran, zwierciadło Kalifów;
Albo samotny słuchał wieków tejemnicy,
Wymówionej niepewną twarzą hieroglifów.
Po trzech latach nauki, miał wziąć kij pielgrzyma.

Przez te trzy lata dziecko z czarnemi oczyma
Poznało miłość — Pierwszą i ostatnią była,
I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła.
Widziałem go przy stopach dziewicy — anioła —
Czarnemi weń oczyma patrzyła i bladła.
Myśląc o dziecka życiu, bo z wielkiego czoła,
Przyszłość mu nieszczęśliwą jak wróżka odgadła.
Więc odwracała oczy, a wtenczas łzy lała —
Przed nią dusza dziecięcia jako karta biała,
Czerniła się na wieki miłością daremną.
Ona go chciała wysłać na tę ziemię ciemną,
Ze wspomnieniami szczęścia — chciała zbroić niemi
Przeciwko własnej duszy i czczym chwilom ziemi.
Więc kładła w niego marzeń i myśli tysiące,
A słowa jej tak były łagodne, tak drżące,
Że, we wspomnieniach dziecka zlane, dały dźwięki,
Podobne do miłości zeznanej wyrazu.
Ona umiała oczom nadać wzrok rozkazu,
I nieraz wstrzymać zamach samobójczej ręki.

On sam od siebie śmierci odsunął widziadło,
Dziwnem wynalezieniem cierpiącego życia.
On przed sobą przyszłości postawił zwierciadło,
I rzucał w nie obecne chwile — i z odbicia

Wnosił, jaki blask przyszłe wspomnienia nadadzą
Obecnym chwilom życia. Taką myśli władzą
Śmiech nieraz słyszał, wspomnień powtórzony echem —
Smutny i połamany przyszłością niepewną,
I na wesołą chwilę twarzą patrzył rzewną;
A nieszczęście przyjmował pół-smutnym uśmiechem,
Patrząc na nie z przyszłości. — Był to wzrok wędrowca,
Co w drodze życia wstąpił na szczyty grobowca,
I ztamtąd ściga mgliste rysy krajobrazów.

Nieraz z dziewicą bory przelatywał ciemne —
Gdy pod ich końmi iskry sypały się z głazów:
Mówili wzajem myśli głębokie, tajemne,
Jak do snu kołysani — marzący jak we śnie.
A dziecię, bólem uczuć złamane przedwcześnie,
Po takich mowach ludzi chroniło się tłumu,
I biegło w ciemne lasy — tam na dzikie wrzosy
Kładło się bladą twarzą — sosn słuchając szumu;
Tam uśpionemu myślą wiatr rozwiewał włosy,
A myśli rosły wielkie, ciemne, tajemnicze,
Jak gwiazdy ogromnemi płynące obroty.
Lub w niebo kładł się twarzą — wtenczas na oblicze
Padało światło lasów — promień słońca złoty,
Pocięty cieniem liści w marmurowe plamy.
A potem w głębiach lasu wicher z szumem wzbity,
Nad głową mu odmykał gałęziste bramy,
Zkąd w ciemne myśli nieba spadały błękity.

Po trzech latach ów drugi młodzieniec powrócił,
Biegły wschodnich narodów tłumaczyć się mową.
W otwarte dziecka ręce z rozkoszą się rzucił,
I rzekł: „Odjeżdżam na wschód w krainę palmową,"
A potem umilkł nagle. O jakże odmienny
Od marzącego dziecka! Pobladł — jego oczy
Obłąkane jak dawniej, lecz wzrok miały senny!
Widać, że myśl, co niegdyś żywiła, dziś tłoczy
I wbija go do ziemi. — Jakaś tajemnica

Niedocieczona, spała w rysach martwych lica.
Mało mówił — tylko raz wpośród dzikich sosen,
Wykrzyknął z obłąkaniem: „Ginę marzeń zdradą!
Wysyłają mię w kraje bez zim i bez wiosen —
Chcą mię zabić!" — A potem uśmiechnął się blado,
I resztę zamknął w serca głębokim tajniku.
Potem wziąwszy uściski matki, druhów, bratnie,
Odjechał i w drugiego dziecka imionniku
Zapisał pożegnania wyrazy ostatnie:
„Po długich latach, gdy wiek sił ukróci,
Gdy będziesz myślą w złotej przeszłości się pławił,
Wspomnij na przyjaciela, który cię zostawił,
Jak przeszłość zniknął, jak przeszłość nie wróci."

Wkrótce — pamiętam — o księżyca wschodzie,
Drugie dziecię wśród ciemnej, dębowej ulicy
Siedziało, pochylone przy stopach dziewicy.
Z drzew opadały liście i w całym ogrodzie
Zaledwo kilka kwiatów szronami srebrzystych,
Na niebie ledwo kilka gwiazd zabłysło mglistych —
Księżyc płynął samotny, las szumiał daleki.
Tego wieczora dziecię ustami drżącemi
Anioła snów dziecinnych żegnało na wieki,
A potem bladą twarzą upadło do ziemi,
Jak zabite słowami, dumnym wstydem drżące.
Bo dziecko miało dumę wielkiego człowieka,
Przeczuciem nakarmioną. Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świetna okrzykiem ludzi — a z temi obrazy
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem —
Serce jak kryształ w setne poryło się skazy.
I tak wiecznie zostało. Wszystkie czucia skarby
Ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie:
Wyobraźnia złotemi rozkwitała farby
I kładła się jak tęcza na ksiąg białej karcie;
Lecz nie było w niej wiary w szczęście, ani w Boga.

Ludzie w nim mieli druha, w myślach świat miał wroga.
On w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się i gmach budował niedowiarstwem ciemny —
Ta budowa, ciężkiemi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom; lecz by się w nią dostać,
Musieli wprzód, jak wielcy szatani Miltona,
Zmniejszać się i myślami przybrać karłów postać.

Tak w rozstania godzinie młody anioł zginął —
Wzniósł twarz—już nad nim młodej nie było dziewicy!
Długo dumał — bo księżyc pół nieba przepłynął,
I patrzył drugą stroną dębowej ulicy,
Jak lampa w końcu ciemnej, klasztornej arkady.
Młodzieniec zadumany, patrzył w księżyc blady —
Potem nagle uśpioną budząc się pamięcią,
Wydobył pismo, całą zamknięte pieczęcią;
I przy księżyca świetle czytał nieruchomy,
Na nieznajomym liście, podpis nieznajomy,
A w głębi listu smutne kryły się nowiny:

„Twój przyjaciel wysłany w piramid krainy,
Jako drogman poselstwa, zajechał po drodze
Do przyjaciół rodziców domu — trzy dni bawił,
Niewinnej wesołości długie puścił wodze,
I przy lampie wieczornej powieści nam prawił.
Wczoraj miał dalej jechać.—Widzieliśmy rankiem,
Jak po jesiennym liściu chodził smutny, cichy —
Potem konie pocztowe brzęknęły przed gankiem,
Potem wielkie, strzemienne podano kielichy —
Żegnał się — za łzy dawał wesołe uściski,
I puharem o nasze puhary uderzył.
Odszedł. Wtem ucztujących strzał przeraził blizki —
Tłumem biegliśmy w jego komnatę — już nie żył!
Przez serce przeszła kula, a broń trzymał w dłoni.
Spoczywa na rozdrożu — wśród leśnej ustroni.
Ksiądz grób jego poświęcił, wierząc w zdanie tłumu,
Że samobójstwo było w młodzieńcu chorobą

Obłąkania, ciemnoty, szału, nierozumu.
Ten wypadek dom cały napełnił żałobą."

Oto jest romans życia nieskłamany w niczem —
Zabite głodem wrażeń, jedno z dzieci kona,
A drugie z odwróconem na przeszłość obliczem
Rzuciło się w świat ciemny! — —

Powieść nieskończona.

W SZWAJCARYI.

W Szwajcaryi.

I.

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.
I nie wiem, czemu ta dusza z popiołów
Nie wylatuje za nią do aniołów,
Czemu nie leci na niebieskie szranki;
Do tej zbawionej i do tej kochanki?

II.

W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitnemi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie. —
Widzisz tę tęczę po burzy w parowie?
Nic jej nie zburzy i nic jej nie zmiesza;
A czasem tylko jakie białe jagnię,
Przez tęczę idzie na skrajne doliny,
Szczypiąc kwitnące róże i leszczyny;
Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęczę szybko przeleci i błyśnie.
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;

Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu!
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy!
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans klecić,
Że chciałem do niej przez kaskadę lecieć;
Bo się lękałem, że jak widmo blade,
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść w tęczę i w kaskadę.
I roztopi się, i zgaśnie, i zniknie!
I byłem, jak ci, co się we śnie boją,
Bo jużem kochał, bo już była moją! —
I tak raz pierwszy spotkałem ją samą.
Pod jasną tęczą różnofarbnej bramą;
Powiew miłości owiał mię uroczy —
Stanąłem przed nią i spuściłem oczy,

III.

Poszedłem za nią przez góry, doliny,
I szliśmy razem u stóp tej lawiny,
Gdzie śnieg przebiega aż do stóp człowieka
Spłaszczoną pletwą, jak delfin olbrzymi;
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnej ucieka.
Pamiętam chwilę, poranek był skwarny.
Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;
Te, jakby szczęścia ludzkiego świadome,
Stanęły blizko, złote, nieruchome —
I utopiły oczów błyskawice
W kochanki mojej błękitne źrenice;
I długo patrząc nieruchome obie,
Głowy promienne pokładły na sobie!
Rzekłem: one się zakochały w tobie!
Rzekłem — i za to z ust zamkniętych skromnie,

Najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie —
Przyleciał szybko i wrócił z podróży,
Do swego gniazda, do pereł i róży;
A gdy zobaczył, że oczów nie mrużę,
Całą jej białą twarz zamienił w różę.
A wiecie? ani tak za serce chwyta
Rumieniec kwiatu, co świeżo rozkwita,
Ani tak oko wędrowca zachwyca
Gór nad-alpejskich śnieżysta dziewica,
Kiedy od słońca różane ma lica,
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

IV.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami.
I nie wiem, czy tam była łódź pod nami,
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać.
A ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach! ona była jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią;
Płynęła lecąc—łódź leciała za nią.
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem;
Za tą jasnością rybek korowody,
I wyrzucały się aż do niej z wody!
I z takimeśmy płynęli orszakiem,
Uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była jak wodne boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną —
I mogła była wszystko robić ze mną.

V.

Raz—że nie była niebieskim aniołem,
Myślałem całe długie pół godziny!

Wyspowiadałem się potem z tej winy.
Słuchajcie! — Oto przed Tela kościołem,
Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha,
I powiedziała mi w głos, że mię kocha —
I odesłała mię znów na jezioro,
Łódkę swą piersią odtrąciwszy białą;
A ja — ach nie wiem, co się ze mną stało!
Czy mię anieli do nieba zabiorą,
Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
Czy uśmiechami rozerwie się łono;
Czy serce, jak lód rozegrzany taje,
Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty,
Czyli uśmiechów pełna, czy tęsknoty?
Wszystkie uczucia gwałtownemi loty
Na serce spadły, jak gołębi chmura,
Pić łzy i białe w nim obmywać pióra,
Aby się czyste rozlecieć po niebie —
Wtem zawołała łódź ze mną do siebie.
Usłyszała ją łódka i spostrzegła,
I sama do niej z błękitu przybiegła.

VI.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów
Stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy;
A pod tym progiem są na wodzie plamy
Od sosen, co się kołyszą na niebie,
I od skał cienia, gdzie mówiąc do siebie,
Wbite do wody trzymaliśmy oczy.
A pod tym progiem fala tak się toczy,
I tak swawolna i taka ruchoma,
Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy,
I przybliżyła, łącząc je rękoma,
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.

Ach! fala taka szalona i pusta!
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni.
Fala tak pełna ruchu i promieni,
Że jednym światła objąwszy nas kołem,
Zmieszała niby anioła z aniołem.
Gdy myślę — boleść dręczy mię niezmierna.
Falo! niewierna falo! — a tak wierna!

VII.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty
Przez jasne łąki do lodowej groty.
Tam ją obielił dzień alabastrowy;
I mróz na czole mej jasnej królowej,
Perłami okrył wszystkie polne róże.
I ze sklepienia łzy leciały duże;
A we łzach sylfy z jasnością ogromną
Deszczem spadały, na białą i skromną.
Słysząc, że ściany płaczą coraz głośniej,
Całą się szatą okryła zazdrośniej,
I wszystko oczom ciekawym ukradła,
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła
Na alabastry widne, choć zakryte.
Tak nieruchomo stała — a koło niej:
Igrały tęcze w blaski rozmaite.
Ja wtenczas modlić się zaczęłam do niej
Ave Maria! — — —
Jak biała róża, kiedy się rozwija,
Róż pokazuje z piersi odemkniętej,
Taki rumieniec wyszedł z lica świętej.
I zamyślona odwróciła głowę,
Palec na ściany kładąc kryształowe,
Jak ta, co imię ukochane kreśli,
Lub o błękitnych jakich czuciach myśli.
Wreszcie się do mnie obróciwszy rzekła:
Może za miłość ja pójdę do piekła,
I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody.

Wszczepioną będę w kryształowe lody;
Jako ta bańka z powietrza i z tęczy...
Lecz prawda — rzekła — jeżeli się męczy
Ta jasność, słońca stworzona promieniem,
Którą lód w sobie mrozi i zabija,
Można ją z lodu uwolnić westchnieniem —
Ave Maria! — — —

VIII.

Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem na sosnowe bory,
Pójdziemy razem gdzie trzód jęczą dzwony!
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau i słońce złote ma pod sobą;
Gdzie we mgle jeleń przelatuje skory,
Gdzie orły, skrzydeł rozwianych żałobą
Rzucają cienie na lecące chmury!
O moja luba! tam pójdę za tobą.
A jeśli z takiej nie wrócimy góry,
Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy,
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury;
Żeśmy się za gwiazd schwycili łańcuchy,
I ulecieli z plejadów gromadą.
I tylko po nas potok spadnie głuchy,
I błyszczącą się łez rzuci kaskadą.

IX.

Ach! najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną,
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą.
Ach najciekawsi na świecie nie zgadną,
W jakim szalecie żyłem z moją miłą!
I wiele nam róż do okien świeciło,
I wiele wisien naokoło rosło,
Ile słowików na wiśniach się niosło;
Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą,

Kłótni słowików płaczących z kaskadą;
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić.
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie!
Łąka i szalet i wiśnie w parowie,
W takim parowie, że Stróż-Anioł biały
Rozwijał skrzydła od skały do skały,
I nakrywał ten cały parów dziki:
Szalet i róże, i nas, i słowiki.

X.

Lecz nadto było cyprysowej woni.
I nadto barwy, co się w różach płoni;
I chciała nas już miłość ująć zdradą.
Było to rankiem — pomnę — pod kaskadą
Byliśmy niczem niestrwożeni — sami —
Czytając książkę pełną łez, ze łzami.
Wtem duch mi jakiś podszepnął do ucha,
Ażebym na nią z książki przeszedł okiem.
Była jak anioł, co myśli i słucha,
I nagle — takim przejrzystym obłokiem
Rumieniec smutny twarz jej umalował,
Że nie wiem dotąd, jak się wszystko stało,
Alem ją w usta różane całował,
I czułem ją tu na mych rękach, białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach.
Wtem nagle — w jasnej kaskady warkoczach
Coś pomieszało się i coś urzekło;
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,
I z kwiatów spłoszył wilgotnemi mgłami.
Odtąd jużeśmy nie czytali sami.

XI.

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,
Smutniejsza, cichsza i bielsza i bladsza,

W głębszych się coraz zanurzała cieniach,
I obrywała róże na strumieniach;
Albo przy kaskad naciągniętej lutni
Stawała słuchać tak jak ludzie smutni,
Z twarzą spuszczoną — lub sama w ustroni,
Ręce na białą zakładała szyję,
Jak ta, co boi się, albo się broni,
Lub jako gołąb, co w strumieniu pije,
Do nieba jasnem wzlatywała okiem.
Już wolnym, sennym błąkała się krokiem,
I jaskółeczek utraciła zwinność,
I zadumała ją całą — niewinność.

XII.

Widząc ją taką, chciałem bronić siebie,
I rzekłem: — Luba! jak Bóg jest na niebie,
Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna;
Lilija jedna wszystkiemu jest winna.
Otoś ty wczoraj w tem źródle, co bije
Na jasnej łące, myła twarz i szyję;
A tam za tobą prosta, niedaleka,
Jak służebnica, co z rąbkami czeka,
Lilija jedna, cała jasna, w bieli,
Oczekiwała aż wyjdziesz z kąpieli.
Widząc was obie takie białe, w parze,
Myślałem, że śpiąc, o aniołach marzę;
I drżeć zacząłem i zadrżałem wszystek,
I jeden tylko poruszyłem listek,
Ten listek inne poruszył listeczki,
I szmer się zrobił — ty wybiegłaś z rzeczki;
I takeś prędko uciekała zlękła,
Żeś łonem kwiatu potrąciła pręty;
I lilijowa wnet łodyga pękła,
I kwiat z niej upadł twoją piersią ścięty;
A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna,

I oto dzisiaj rankiem, pod kaskadą —
Nie jam był winien — lecz lilija winna.

XIII.

Płonęła wonna jak kadzidło mirry,
I widać było, że nie wiedząc, płonie.
Głębszemi oczu stały się szafiry,
I prędsza fala białości na łonie,
I dziwnym ogniem rozpalone skronie,
Wczesne zwiędnienie dawały bławatkom.
Ona z tych była, co się skarżą matkom.
I skarżyła się gwiazd cichej gromadzie,
Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie,
Gdy kwiaty szepczą miłośnie do ucha,
Co zamyślona, własnych myśli słucha.

XIV.

Czy ty gdzieś teraz, o miła, z rozpaczą
Aniołom boskim mówisz rozżalona?
Jak ci, co mówiąc skarżą się i płaczą,
Że była burza gromami czerwona,
Że była grota posępna i ciemna,
I w grocie z kaskad kryształu zasłona;
Że była trwoga w ciemności tajemna,
Razem niepamięć jakaś Boskiej kary;
I skarga smutna czystych nimf, podziemna.
Że nas tam samych dzień odstąpił szary,
I zastał z twarzą ognistą przy twarzy,
I ptasząt nas tak obudziły gwary —
Mówisz ty o tem? jak ta, co się skarży!
O! nie mów ty tak aniołom! niebieska!
Bo każda twoja brylantowa łezka,
Jednemu będzie z tych jasnych pożarem.
Bo ja, ach gdybym był także aniołem,
Z rozpromienionem na błękitach czołem,
I nieskończoność całą miał obszarem,

I mógł zarządzać gwiazdami wszystkiemi,
Nie chciałbym gwiazdy niebieskiemi świecić,
Lecz tylko rzucić błękity i lecieć
I taką jak ty mieć moją — na ziemi.

XV.

Z groty ta piękna wyjść nie śmiała sama,
Słońca się może bała na lazurze,
Że za promienne będzie i za duże,
Albo że będzie jako czarna plama.
Ale na niebie była z tęczy brama,
Na wypłakanej rozwieszona chmurze.
Wyszła — i naprzód ją zdziwiły róże,
Że takie były jak wczoraj różowe.
Zerwała jedną i podniosła głowę,
I zadziwiła ją ta tęcza ranna,
Niebios błękitnych przezroczystość szklanna,
Krążek księżyca tonący w błękicie,
Zda się, że nowe ją zdziwiło życie,
Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła,
Aż gdzieś w krysztale jeziora spostrzegła
Na licu swojem przezroczystą białość
Żywszy ust koral, i większą omdlałość,
I uśmiech pełny tęsknoty, i żałość.
Więc osłoniła się cała w warkoczu,
I więcej na mnie nie podniosła oczu.

XVI.

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą.
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,
I o czem cichem pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, listeczkiem i z kwiatem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą

Wychodzi blady pierścionek Dyanny:
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny —
O takiej chwili, ach, dwa serca płaczą!
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
Jeżeli o czem zapomnieć — zapomną.
O takiej chwili z moją panią skromną,
Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

XVII.

Jak śpiewający na niebie skowronek,
Z gór słychać było pustelnika dzwonek.
Rzekła raz: chodźmy do staruszka celi,
Może rozgrzeszy, może rozweseli,
Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli.
Tak mówiąc, wbiegła do sosnowej chaty,
Szybko zamknęła wszystkie okiennice,
Ażeby na nią nie patrzyły kwiaty;
I ustroiwszy się jak gór dziewice,
Wybiegła do mnie — myślałem, że padnę!
Ani jej oczy kiedy takie ładne,
Ani jej usta takie były świeże!
Motyla miała czarnego na głowie, —
Ten alabastrów od smagłości strzeże;
I przeświecony od słońca w połowie,
Na czoło rzuca skrzydła cieniu dużę.
A pod motylem pochowane róże,
Z pod czarnej gazy patrzyły ciekawe,
Na pół zamknięte, świeże jeszcze, łzawe.
Wiedząc, że zawsze strzegą serca strony,
Złośliwy motyl usiadł przechylony.
Myślałem, że mu to skrzydło połamię.
Siadł i na lewe przechylił się ramię.
I któżby wierzył w przeczucia, co straszą,
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!
Gdym z góry spojrzał na dolinę naszą,

Szalet się oku wydawał jak trumna:
Maleńki, cichy: kiedym spojrzał z góry,
Nasz ogród z wisien, jak cmentarz ponury;
I niespokojne o nas gołębice,
I zadumane o nas w łąkach trzody!
Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody;
Zabite ćwiekiem śmierci okienice;
Wszystko zaczęło mię straszyć i smucić,
Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.
Szedłem posępny i drżący na góry —
Jeziora czarne, głazy, śniegi, chmury;
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
Słońce czerwone jak krew o zachodzie,
Dom pustelnika śniegiem przysypany,
I dwa ogromne na straży brytany.
Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,
Cela, pustelnik stary, księgi w pyle —
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi.
Pamiętam tylko, że promień zachodu
Cały się na twarz rzucał Chrystusowi,
Kiedy na palec jej zimny jak z lodu
Kładłem pierścionek. — — — — —
— — — — — — — — — — —

XVIII.

Gaje! doliny! łąki i strumienie!
O nie pytajcie wy mnie smutne o nią.
Są łzy, co mówić na zawsze zabronią.
A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie:
I widzę jasne błękitne spojrzenie,
Co się zaczyna nademną litować —
I widzę usta, co mię chcą całować,
I drżę — i znów mię ogarną płomienie.
I nie wiem gdzie iść? i gdzie oczy schować?
I gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?
I staję blady i kreślę jej rysy,
Lub imię piszę na piasku wilgotnym,

Lub błądzę między róże i cyprysy,
Jak człowiek, który skarb drogi postrada,
Zmysły utracił, i płacząc usiada
Tam, kędy urny na grobowcach siedzą,
Myśląc, że groby o niej co powiedzą.

XIX.

Jest pod mojemi oknami fontanna,
Co wiecznie jęczy zapłakanym szumem;
Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem
Żyją słowiki; jedna szyba szklanna,
Gdzie co noc blada zaziera Dyanna,
I czoło moje smutnym blaskiem mami.
I tak mię budzą zalanego łzami:
To drzewo, księżyc ten, i ta fontanna.
I wstaję blady, przez okno wyzieram,
Słuchając różnych płaczów na dolinie.
Słowiki jęczą i fontanna płynie —
Mówią mi o niej — ja serce otwieram,
I o śmierć prędką modlę się z rozpaczą,
I schnę i więdnę — i ach! nie umieram —
I co dnia, budząc mię, fontanny płaczą.

XX.

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię,
Nie wiem, jak sobie jej postać malować?
Czy kiedy przyszła śpiącego całować,
Jak z rozwartemi skrzydłami gołębie?
Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?
Czy, gdy na jedną ze mną księgi kartę
Wbijała oczy błękitne, otwarte,
Na każde moje spojrzenie ostrożna?
Czy, kiedy wiejskim otoczona dworem,
Chodziła gdyby zaklęta królowa?
Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?
Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa

W księżyca blasku biała? — lub wieczorem
Od alp, za śniegu różowych — różowa? —

XXI.

Zkąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,
Tam pójdę aż za ciemnych skał krawędzie
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie,
I tam polecę, gdzie one polecą.
Bo i tu — i tam — za morzem i wszędzie,
Gdzie tylko poślę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.
Więc już nie myślę teraz tylko o tem,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe —
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
O moje serce rozdarte i krwawe;
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
Idąc po fali — zaszeleści złotem,
I załaskocze tak duszę tajemnie,
Że stęskni — ocknie się — i wyjdzie ze mnie.

Ojciec zadżumionych

W EL-ARISH

Ojciec zadżumionych

w El-Arish.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona;
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki.
Cała rodzina dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki,
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
A wieczór — wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona, z synaczkiem przy piersiach, warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam — gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiecha.
Wszystko tam leży pod kopułką szecha.
A ja samotny wracam! — O! boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści,
Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru.

O! niewiadoma ta boleść nikomu.
Jaka się w mojem sercu dziś zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu —

W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki? —
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać się będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym szecha —
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem
Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?!

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
Wielbłądy moje cicho się pokładły;
Dziecko, jak mały aniołek w obrazku,
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie.
Widzisz tę małą rzeczułkę w dolinie?
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna,
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku,
Śmiejąc się, lekko trysnęła na braci.
Najstarszy z ogniem zapalonym w oku
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie,
I rzekł: sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie.
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
Powalił się tu, jak palma złamana.
Przybiegłem — nie czas już było ratować.
Siostry go chciały martwego całować.
Krzyknąłem wściekły: niech się nikt nie waży!
Porwałem trupa i rzuciłem straży,
Aby go wzięła na żelazne zgrzebła,
I tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebła.
A od tej nocy tak pełnej boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Tej samej nocy Hafne i Amina
Umarły, leżąc na łożu przy sobie.

A patrz! — tak cicho umierały obie!
Że choć po śmierci najmłodszego syna
Oczy się moje do snu nie zawarły —
Ja nie słyszałem jak obie umarły!
I nawet matka własna nie słyszała,
Choć wiem, że także tej nocy nie spała.
Rankiem, obiedwie sine jak żelazo,
Dwie moje córki zabite zarazą,
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu.
I porzuciły nas! — i bez powrotu!
A jak dorosłym przystoi dziewicom,
Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Widzisz to słońce w niebie lazurowem?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
Zawsze zachodzi za tą piasku górą,
Zawsze to niebo niesplamione chmurą:
A mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,
Że słońce słońcu nierówne złotemu;
I już nie takie, jakie było wczora,
Ale podobne do słońca upiora.
A niebo, które patrzyło na zgubę
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,
Tak mi się mgliste zdawało i grube
Ziemi wyziewem i słońca purpurą —
Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.

I tak dni dziesięć przeszło, choć nieskoro.
Reszta mych dzieci żyła — wszystko czworo.
Małżonka moja serce miała lżejsze,
I nawet moje dzieciątko najmniejsze
Żyło i kwiatkiem nie chciało usychać.
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać,
Bo nie wierzyłem, żeby, wziąwszy troje,
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje! —

O! była to więc piekielna godzina!
Gdy, patrząc na twarz najmłodszego syna,

Śmierć zobaczyłem. Ach, ja go tak strzegłem! —
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny —
Niktby nie dostrzegł — ja, ojciec, spostrzegłem.
On do tamtego stawał się podobny,
Stawał się jak ów mój trup pierworodny:
Z jasnego blady, z białego czerwony.
Patrzę! — na twarzy plam żelaznych krocie,
Więc zawołałem głośno: śmierć w namiocie!
I pochwyciwszy go z takiemi trądy,
Wyniosłem na step pomiędzy wielbłądy,
Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka,
I żeby na to nie patrzyła — matka.

Przy konającym czuwaliśmy blizcy
Ja z wielbłądami — na kolanach wszyscy.
Łamałem ręce i wołałem głośno:
Oby nie umarł! lub się był nie rodził!
A tam nad palmy z twarzą nielitośną,
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził,
I patrzył: — tego z pamięci nie zatrzeć!
I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł patrzeć?
Gdy skonał w moim ojcowskim uścisku,
Chciałem go spalić na popiół w ognisku:
Lecz ledwie ogień zaczął biedz po szacie,
Wyrwałem trupa i rzuciłem straży.
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy —
I lepiej mu tam przy siostrach i bracie!
Od tego zgonu i od tej boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Pod kręgiem słońca jako krew czerwonym,
I pod namiotem tym zapowietrzonym,
Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
I śmierć przed samą śmiercią udawali;
Myśląc, że Boga oszukamy w niebie —
Że się ten bałwan zarazy przewali. —
Powrócił! — Anioł powrócił morderca!
Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,
Już omdlałego na boleści świeże,

Już mówiącego: niech Bóg wszystko bierze!
Miałem na syna trzeciego cierpienia
Powieki bez łez i serce z kamienia.
Boleść już była jako chleb powszedni,
I pod oczyma mi konał mój średni
Najmniej kochany w mem rodzinnem gronie,
I najmniej z dzieci płakany po zgonie.
To też Bóg jemu wynagrodził za to,
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,
Bez żadnych bólów, bez żadnych omamień.
Skonał i skostniał i stał się jak kamień.
A tak okropnie po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał,
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić,
I wiecznie zostać w rodziców pamięci,
Z twarzą, co woła — jesteście przeklęci! —

Skonał. Myślałem wtenczas — o rozpaczy! —
Że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli anioła śmierci przyśle po nie:
Dziecko mi weźmie — żonę — a po żonie
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę —
Córka — Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I trwoga o nią nie gryzła mię żadna.
Ach, ona była młoda! taka ładna!
Taka wesoła, kiedy moją głowę
Do lilijowych brała chłodzić rączek;
Kiedy zrobiwszy z jedwabiu osnowę.
Około cedru biegała po trawie,
Jak pracowity snując się pajączek!
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie
Ona robiła — i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy
Tak przysłaniała, że patrzyłem na nią
Jako na róże, przez me łzy i słońce.
Ach, ona była domu mego panią!
Ona, jak jaśni anieli obrońce,

Najmniejsze dziecko w kołysce strzegła —
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła;
I wszystkie nasze opłakała ciosy,
I wszystkie nasze łzy — wzięła za włosy.
Dziesięć dni przeszło i nocy długich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć.
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło — nadzieja zaczynała świecić —
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści,
I naliczyliśmy ranków już trzydzieści.
Nareszcie, zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy,
I we śnie, w lekkie owinięty chmury
Ujrzałem moje dwie umarłe córy.
Przyszły, za ręce trzymając się obie;
I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
Poszły oczyma cichemi błyszczące
Nawiedzać inne, po namiocie śpiące.
Szły cicho, zwolna, schylały się nizko.
Nad matki łożem, nad dziecka kołyską;
Potem, na moją najmłodszą dziewczynę,
Obiedwie ręce położyły sine!
Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
Klnąc, wołam dziko: Hatfe, moja Hatfe!
Przyszła jak ptaszek, cicho, po kobiercu,
Rrzuciła mi się rączkami na szyję;
I przekonałem się, że Hatfe żyje,
Słysząc jej serce bijące na sercu.
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć —
Córka!!! — Lecz na co z boleścią się szerzyć?
I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna najstraszniejsza chwila:
Kiedy ją bóle targały zabójcze,
Wołała, — ratuj mię! ratuj mój ojcze!
I miała wtenczas czerwone usteczka,
Jak młoda róża kiedy się rozchyla,
I tak umarła ta moja dzieweczka,

Że mi się serce rozdarło na ćwierci —
A piękna była jak anioł — po śmierci!

Przyszli nademną płakać nieborakiem
Strażnicy, przyszli mi wydrzeć to ciało.
I, nieostrożni, zaczepili hakiem —
Hak padł na pierś jej twardą, krągłą, białą —
I tu — bogdajby jak ja nie umarli! —
Tu ją przed memi oczami rozdarli. —
Ty im to, Boże niebieski, spamiętasz!
Wziąłem ją — i sam zaniosłem na cmentarz.

Z założonemi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma
W kącie namiotu, żółta, jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna,
Bo mleko matki zaczęło wysychać,
I co dnia było płacz w kołysce słychać.
A ta pustynia — nie masz dzieci w grobie! —
Ona inaczej wydaje się tobie.
Może złocista, jasna i weselna?
Lecz dla mnie jest to równina piekielna!
Przez tę równinę, przez te piasku kupy,
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.
A tam na wzgórzu, kędy morze bije —
Dla ciebie szumi może — dla mnie wyje;
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko — dla mnie płacze.
Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina,
Śpiewającegom słyszał muezina:
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
Krzycząc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
O! bądźże mi ty pochwalony Alla!
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
Zarazą, która dzieci nie wytraca

I bierze syna z łona rodzicielki
O! Allah! Akbar Allah! jesteś wielki!

Wszystko, co miało tylko twarz człowieka,
Zaczęło stronić odemnie zdaleka.
Namiotu mego — córki go uprzędły —
Płótna na rosie poczerniały, zwiędły,
I podarły się i lekko napięte
Były, jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.
Zarazę było znać na tym namiocie.
I wiesz? że nawet tych wróbelków krocie,
Co zlatywały się tutaj o brzasku
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku,
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać.
Czy odstraszyło je podarte płótno
Namiotu mego? czy twarz moja biedna? —
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna.
I spostrzegłem to — i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o Boże mój! Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze!
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury,
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję i widzę i słyszę,
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze;
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nademną w ciemności kołysze
I od piorunów cały się czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się za burzy łoskotem,
Żem słyszał martwe dzieci za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie — głucho! —
Więc natężałem słuch, serce i ucho;
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

I nagle — Czemuż ta śmierć tak zdradziecko!
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?
Grom spadał, hucząc, po gromie — i nagle
W kołysce z cicha zapłakało dziecko —
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem —
Bo zaraz — matka — ja — oboje razem
Rzuciliśmy się gdzie robaczek lichy —
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy;
To tak wydawał się obojgu głośny,
I tak rozdarty, i taki żałośny,
I tak z głębokich wnętrzności wyjęty!
I tak rozumny! i taki przeklęty!!!
Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
I bez nadziei już i bez pamięci!

I nie zawiodło przeczucie żałoby!
Umarło — z takiej jak tamte choroby.
I poszło leżeć między trupy bratnie,
Moje najmilsze! — i moje ostatnie!!!
Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie.
I już nie wróci! ani mi urośnie!
Ani go kiedy mój dom już obaczy! —
I już nie wróci nigdy! — o! rozpaczy!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami.
Byliśmy z matką w namiocie — przed nami
Leżało dziecko na stole nieżywe,
Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
Uczułem wtenczas, patrząc na tę postać,
Że gdyby mogło choć tak z nami zostać,
Przez wszystkie lata — choć tak, nie inaczej —
Ubyłoby mi z serca pół rozpaczy.
I to już — ani zarazy strażnicy,
Ani ja, niosłem do szecha kaplicy,
Gdzie się nam trupia otwierała brama:
Ale je matka tam zaniosła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną,
Ale czy pojmiesz? — zamiast nas połączyć
Boleść, obojgu nam rozdarłszy łono,

Zaczęła jakieś jady w serca sączyć,
I teraz chyba je sam Bóg oczyści.
Smutek podobny był do nienawiści,
I stanął czarny, wielki między nami.
Więc rozłączeni byliśmy i sami.
I nie mówiliśmy do siebie słowa.
Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa
W pustym namiocie między mną i żoną,
Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci? —
Słońce wschodziło w upały czerwono,
Jak jaka skrawa pożaru pochodnia!
Więc tak bezdzietnym było i tak co dnia —
Cisza ogromna namiot nasz zaległa.
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
Zgoła innego jęku, ni szelestu.
Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu.
I kwarantanny przybyli lekarze,
Głęboko patrząc w nasze smętne twarze
Widziałem, jak się każdy z nich zadziwiał,
Bo nachyliłem się był i posiwiał.
A żona moja od niespań i troski,
Była jak bursztyn, albo żółte woski:
Na głowie miała z włosów siwy wieniec,
Jakiś okropny, ceglany rumieniec,
A oczy pełne takiej błyskawicy,
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,
Tam, gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy —
Zdrów byłem. — Ludzie! czy będziecie wierzyć?
Ja, co me wszytkie całowałem trupy,
Z tej kwarantanny wychodziłem zdrowy! —
Żona, co nawet nie tknęła połowy,
Nad piersiami się uderzywszy, zbladła,
I zachwiała się z jękiem — i upadła.
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
Zaniosłem w namiot i rzuciwszy brzemię,
Upadłem przy niej, jak martwy na ziemię,
I obudziłem się — na dni czterdzieści. —

Przed samą śmiercią wyznała mi matka,
Że chciała z grobu swojego dzieciątka
Jakiej pamiątki, kamienia lub kwiatka,
Włoska w złocistych na głowie obrączkach;
I ta po dziecku umarłem pamiątka —
Patrzaj! obrazek ten, co trzymał w rączkach,
Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
W mogiłce z główki maleńkiemu zdjęte —
Bo biedna matka miała tyle mocy,
Że odkopała dziecko o północy —
Znalazła jeszcze nie zepsutem wcale,
Pocałowała w usteczek koralę
I znów włożyła do trupich obsłonek.
Te upominki i ten pocałunek,
Zazdrośnej ziemi szecha ukradzione,
Zabiły matkę i wzięły mi żonę.

I znów się łono piaskowe otwarło,
Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą.
Potem wróciłem do płóciennej nory,
Schować się w cieniu, jak nocne potwory.
Ani ja słońca na niebieskim sklepie,
Ani mię ludzie widzieli na stepie,
Stałem się jako zdziecinniali, starzy —
W pamięci mojej żadnej żywej twarzy,
Tylko te sine i okropne lica,
Które mi wzięła zarazy martwica!
I w dzień błękitny i w noc każdą ciemną,
Oni tu byli w tym namiocie ze mną.
Gadałem z niemi; zmyślałem rozmowy,
W którym rozmawiał ze mną tłum grobowy;
I często dziwnym natrafiłem losem
Na głos, co moich był dzieciątek głosem.
Z obłąkanego budziły mię śnicia
Po nocach hyen przeraźliwe wycia,
Tam nad trumnami — i słuchałem blady,
Jak nad trupami płaczą trupo-jady.
Stałem się wreszcie jak wąż, gdy ochłodnie —

I przechodziły mi dnie i tygodnie,
Bez żadnych bólów, pamiątek, omamień.
Stałem się twardy i zimny jak kamień.
I raz — ach Boska nademną opieka!
Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda —
I ach! — nie była-to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał, a spojrzał z twarzą tak litośną,
Że rozpłakałem się jak dziecko głośno.

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieści;
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
O! gorzka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy,
Będę wyrywał koły i powrozy,
Które — o! Boże wiekuisty świeć mi!
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.
Ach pomóż ty mi je zerwać — sam jestem!
A może tobie posępnym szelestem
Te płótna więcej boleści powiedzą?
One widziały wszystko! wszystko wiedzą!
Czyż nie są teraz jak męki obrazy?
Patrz na nie, dotknij, nie bój się zarazy,
Nie bój się śmierci, co dotknięciem sinem...
Wszak ty nie jesteś synu, moim synem.
Lecz nie — uciekaj! ja wiem, że te płótna
Straszne się muszą obcym ludziom zdawać,
Śmierć od zarazy! ach! to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
Potem cię ogień pali, piersi gorą.
Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!
I co dnia patrząc na te konające,
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
Dziś — oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga!

WACŁAW.

Są przedmioty, którychby się pióro pocty tknąć nie powinno; takim zapewne jest śmierć Wacława, którego nam Antoni Malczewski tak cudownemi kolorami w poemacie „Marya“ odmalował. Jakiś jednak mimowolny pociąg, chciałbym go nazwać natchnieniem, zmusił mię do napisania następnego poematu; a od prawdziwych nie odstępując podań, starałem się ile możności zidealizować rzecz pełną czarnych mętów i okropności. Może kilka strof spowiedzi Wacława wyjednają mi u czytelnika nieco pobłażającego sądu dla reszty i ogólnego układu pisma, którego już ani poprawić, ani przemienić nie jestem zdolny. A dwa poprzedzające poemata przybiegną w pomoc broniącemu się od zupełnego potępienia poecie.

WACŁAW.

I.

Witaj mi ziemio stepów — gładka, cicha,
Gdzie kwiat dla Boga kwitnie i usycha;
Gdzie dwa kurhany na błękitnem niebie
Przez całe stepy patrzą się na siebie;
Gdzie przerywają trupy sen grobowy,
Orłami z sobą prowadzą rozmowy.
Lub gdy je przyjaźń w mogiłach nie zbliża,
A krzyż się groźnie pogląda na krzyża,
I oba drewna niby grożą sobie
Przez całe stepy, zemstą, śpiącą w grobie! —
Krzyżowe groźby i poselstwa ptaków
Lecą przez krwawe doliny bodiaków;
I czuć w powietrzu, że tu myśli wojna,
Choć słońce złote, choć ziemia spokojna.
Bo choć się skończą rycerstwa i waśnie,
To ziemia mogił tak prędko nie zaśnie!
Ale w jej sercu wolność się odzywa,
Kiedy się orzeł gdzie z mogiły zrywa,
Kiedy zatętni jaki wicher głuchy —
Gdy zaszeleszczą powojów łańcuchy.
Albo gdy śmignie jaki złoty sumak,
Myśli, że biały Pułaskiego rumak;

Albo gdy kosa o kamień zadzwoni,
Myśli, że Sawa jedzie w tysiąc koni!
Ale już w grobach są ci sławo-kraśni.
Ziemio kurhanów, nie marz o nich — zaśnij!

II.

Jeśli pod tobą wolny koń stepowy,
Omijaj zamek ten i te parowy,
Niech cię nie wabi ten na zamku czole
Napis, co błyska od słońca na pole;
Bo to jest kłamstwo marmurów ohydne,
Złotem pisane i zdaleka widne.
Uciekaj stepem przez burzanu fale,
Nie wierz napisom, nie zazieraj w sale,
Bo tam owionie i męztwo ci zetrze
Gorsze niż w grobach zdradziectwa powietrze!
Gorsze niż dżuma, co zabija ciało!
Gorsze! — choć pałac ten wygląda biało;
Choć za nim widać lipy starożytne,
Białe kościołki, jeziora błękitne —
Chociaż łabędzie śpią na tych jeziorach,
Choć róże stoją w jutrzenki kolorach;
Chociaż słowiki mieszkają w topolach,
A dalej błękit i kłosy na polach:
Nie wierz zdradzieckiej natury obłudzie,
Ten zamek pełny — w tym zamku są ludzie!

III.

Od czasu jeszcze dawnych Pelopidów,
Od wygaśnienia rodziny Atrydów!
Nigdzie krwi tyle na gmachu kamieniach,
Nigdzie plam tyle od zbrodni w sumieniach.
Nigdzie rodziny tak czarnej nie było,
Tak czarnych prochów pod żadną mogiłą! —
Więc zacznę — — W imię Ojca, Syna, Ducha!
Kto tak okropnej powieści wysłucha?

IV.

Choć w zamku gości częstują wspaniale,
Gospodarz dawno nie schodzi na sale.
Niegdyś widziano go w gromadnem kole,
Jak trup śród ludzi, jak upiór przy stole.
Zimne po sercach przechodziło mrowie,
Kiedy co mówił, gdy pił jakie zdrowie;
A gdy wziął kielich w rękę trupią, siną,
W kielichu krew się zdawała, nie wino.
Każdy, co z gości do stołu zasiadał,
Nie znał go prawie, nigdy z nim nie gadał;
Gdy wszedł — nie wstawał nikt przed tym człowiekiem,
Choć orderami był sławny i wiekiem! —
Ani posłane z poselstwem od matki
Kiedy go w rękę całowały dziatki.
Jakby przed marą piekielną, szkaradną,
Stają przed ojcem zaléknione — bladną,
I uciekają nie wyrzekłszy słowa,
Lub kamienieją. Nie twarz to surowa —
Bo miłą miał twarz ten człowiek z natury;
Ani wzrok jego dziki i ponury,
Bo na swe dziatki patrząc, łzy miał w oku!
Lecz przerażenie z Boskiego wyroku
Wisiało nad nim, jako krwawa tęcza,
A gorzej — wiedział to sam, że odstręcza!
Że coś pomiędzy nim a światem stoi,
Czego się sługa, dziecko, słońce boi.
Więc już oddawna zaniechał z rozpaczą
Przepraszać serca, które nie przebaczą,
Ujmować dusze, co chcą nienawidzieć,
A nie mógł niemi pogardzać i szydzić.
Nawet choć wiedział, że tłumną hołotą
Rzucał się sprosny lud na jego złoto,
Tak wielką znalazł pokorę w swej winie,
Że nie pogardził i otworzył skrzynie:
A wtenczas sercu jego biczem jędzy
Był brzęk liczonych po zamku pieniędzy.

V.

Nareszcie uciekł od ludzi i słońca.
A przy nim tylko jak anioł-obrońca,
Maleńki, blady i nierozkwitniony,
Był smutny synek jego pierwszej żony.
To jedne dziecko przy nim czuwa, tleje,
Jako różyczka przy cedrze więdnieje.
On duszę ojca, gdy w rozpacz upada,
Szafirowemi oczkami spowiada;
I patrzl że czarny nędzarz nie unika
Tak błękitnego grzechów spowiednika,
Ale mu z oczu cały błękit świeży
Pije oczyma — i wzdycha i wierzy
W ostatnią pomoc — w moc dziecka pacierzy.
Kiedyś za wczesnym zagrożoną zgonem
Dziecinkę swoją nazwał Eoljonem;
Bo myślał, że ten kwiatek biały, kruchy,
Wezmą ze złotej kołyseczki duchy
I w nieśmiertelne zaniosą ogniska:
A więc mu nie dał ludzkiego nazwiska,
Ale powietrzne, duszy, nie popiołom
Imię, łatwiejsze wymówić aniołom.
To dziecko jemu zostało przy boku
Ze łzą w źrenicy, z płomionkami w oku —
I czuwa przy nim. Lecz z wyroków Pana
Dusza w dziecięciu bladem obłąkana,
Smętna, i z ciałkiem niedołężnem zwadna,
A w obłąkaniach jak aniołek ładna,
Gdy się uśmiecha — zda się, że do nieba;
Płacze — to myślisz, że mu tak potrzeba
Nad jaką dawną pamiątką lub szkodą,
Jak zapłakanej wierzbie stać nad wodą.
Tylko, że ojcu, gdy mu dziecię zbladło,
W chorobie dziecka jest zgryzot zwierciadło! —
Tylko, że nieraz jakaś moc grobowa,
Przekleństwo ojca kładnie w dziecka słowa,
Lub w obłąkane czynności dziecięce,

Jakieś piekielne mieszają się ręce,
I straszne rzeczy czynią dziecka mocą —
I dziś — gdy Wacław zasnął — przed północą —
— — — — — — — — — — —

VI.

Lecz gdzież jest młoda małżonka? Grafini?
Czemu nie przy nim? Dawniej niewolnica,
Dziś samowładna w zamku monarchini —
Z kimże to błądzi po świetle księżyca?
Z kimże to słucha śpiewania słowików?
Dzieci i męża bezsenne wezgłowie,
A jednak, mówią, dba o grafa zdrowie! —
Sama przyprawia mu z lekarstwem czary.
Nieraz przy łożu jak ulotne mary
Staje powiewna, z lampą w ręku, blada,
Słuchać, co śpiący o niej we śnie gada.
A mówią ludzie, że nieraz jej ręka
Słucha, czy serce się w chorym nie pęka;
Bo takie drgania mu piersi podnoszą,
Takie go zimne, straszne poty roszą
Gdy śpi, a patrzy na śpiącego żona,
Jakby go anioł śmierci brał w ramiona,
Lecz dzisiaj z kimże na wieczornym chłodzie
Chodzi ta pani po mglistym ogrodzie?
Jeśli zbrodnicza miłość w sercu bije,
Ona się z taką miłością nie kryje,
Ale otwarcie, z bezwstydem na czole,
Kochanka sadza u boku przy stole:
Bo ten kochanek nie wybrany w tłumie,
Zwykle pochlebia jej skażonej dumie.
To jaki książe, to króla powierny:
Pies nań nie szczeka, przepuszcza odźwierny,
Wszyscy go nawet witają ukłonem;
Zamek jest jego łożem, domem, tronem —
Włada; gdzieindziej podobny do węża,
Tu zdrajca — panem jest żony i męża!
Więc to nie z gachem Dyanna grafini

Tajemne schadzki ma w ciemnej jaskini?
W grocie, co gładkim wyłożona brusem,
Szklannej kaskady zamknięta obrusem.
Szarfa ta wody lecąca z wysoka,
Nie puści w grotę śledzącego oka,
Ani księżyca — lecz przez nią przeleci
Czarna jaskółka, co w grocie ma dzieci;
Ta jedna kryształ skrzydłami rozcina —
Na wszystko miłość waży się matczyna,
Lecz noc — jaskółki są w gniazdach ukryte,
A ciemność trwożna okryła kobietę. —
Chociaż nie sama, drży jak liść osiny,
Kiedy się w gniazdach poruszą ptaszyny;
Gdy woda głośniej w kaskadzie zakrzyczy.
A ten powiernik kto? duch tajemniczy?
Szata go długa w ciemności obiela,
Na głowie wianek stepowego ziela —
Na głowie siwem porośniętej runem,
Wiąże się burzan czerwony z piołunem.
A przed nim kocieł, czary i amfory. —
Ku jakiej sprawie? ku czemu przybory?
Czy klątwy rzucać, czy palić ofiary?
Czy zabić kogo piekielnemi czary?
Z jakim to widmem skandynawskiej Frei,
Grafini dzieło zaczyna Medei?

VII.

Zaledwo pani wargę koralową
Pierwsze i drżące otworzyło słowo —
O! nieba! leci jasnych świateł krocie
Z pałacu, ciemną aleją, ku grocie,
I rozsypują się po drzew łańcuchu:
W ogrodzie pełno krzyku, blasku, ruchu.
Na cichej wodzie łabędź się poruszył,
Strzepotał, wody zwierciadlane skruszył,
Zapienił cały krąg, zbudzony nagle,
Otworzył wszystkie puchy, pióra, żagle —
I znów spokojny spogląda wspaniale

Na rozchodzące się kręgami fale.
Tak silne serce posępnie się rzuci,
Kiedy go ze snu jaki grom ocuci,
Porwie się nagle, tłum spokojny zmiesza —
I widzi jak się przerażona rzesza
Cofa, jak kręgi blademi ucieka
Od rażonego nieszczęściem człowieka;
To wtenczas duma na pomoc przybędzie,
To wtenczas skrzydła duchowe, łabędzie,
Całe rozwioną przeciw wichrom losu —
To wtenczas serce jak z twardego ciosu.
I tem się nawet chełpi boleść sroga,
Że miała świadkiem walki — tylko Boga.
I tem się cieszy serce, choćby pękło,
Że zamiast podłych zlitować — przelękło.

VIII.

Ludzie po drzewach szukający wszędzie,
Budzą słowiki i płoszą łabędzie.
Już słychać szmery, już wrzawa szalona,
Że graf otruty, że cierpi, że kona.
Wreszcie okropna wieść do groty wpadła:
Powiernik zaśmiał się — a pani zbladła!
I znów skościeli oboje na długo.
Lecz ktoby wtenczas ją widział z tym sługą,
Ktoby ją widział, kiedy przez kaskadę
Blaski księżyca ją oblały blade;
Ktoby w jej usta już nie koralowe
Ale pobladłe, otwarte, surowe,
Spojrzał i słuchał, gdy tak stała cicha,
Jak przez te usta serce w niej oddycha;
Ktoby usłyszał, z jakim dzikim wrzaskiem
Wybiegła z ludźmi się spotkać i z blaskiem —
I z obwinieniem, co na każdej twarzy
Przy migającej się pochodni żarzy!
Ktoby w tej chwili, nie zalane łezką,
Ale pięknością jasne nad-niebieską.
Widział jej oczy, gdy je w gwiazdach trzyma,

Albo o męża pyta się oczyma:
Tenby ją całkiem miał niepotępioną! —
Zepsutą była, niewierną — lecz żoną.

IX.

Jedno tam okno na zamkowej sali
Od czerwonego księżyca się pali.
To właśnie okno grafowskiej komnaty,
Jak anioł, blaskiem czerwonym skrzydlaty
Stoi na zamku, patrzy na katusze,
I czeka, by wziąć z tego ciała duszę —
U bramy zamku tłum pobladły czeka.
Na drodze widać konnego człowieka.
Jak czarny szatan z płomykiem na głowie:
Otwierać bramy nim się człek opowie!
Bo to nie dyabeł, ani żadna jędza,
To kozak pański konno wiezie księdza.
Będziesz pamiętał ty księże Prokopie,
Jak się kozaczy koń przez jary kopie,
Jak parska ogniem, jak daje szczupaka,
Choć ma na sobie księdza i kozaka.
Hej! hej! skrzypiąca brama się odmyka,
Kozak na koniu przywiózł spowiednika;
Przeskoczyl dyaków i bab bladych wianek,
Wziął go za kaptur i rzucił na ganek.
Sam idzie w tłumy, gdzie ponure gwary,
Że ktoś na pana rzucił śmiertne czary,
Kto? wszystkie oczy idą ku tej stronie,
Gdzie u grafini lampa w oknie płonie.
Wczoraj — widziano ją w grocie z wieczora
Nie samą...

X.

Próżno ksiądz czeka u grafa podwoi,
Zamknął się Wacław i ludzi się boi,
I z małym synkiem sam na sam się pieści.
Widziano pierwsze trucizny boleści —
Sam mówił ludziom, że otruty kona,

Potem służalców wygnał; nawet żona
Wejść się nie waży, gdzie spoczywa chory,
Bo sam odedrzwi zasunął zapory
A bramę chyba wyłamać wypada
Jak umrze. U drzwi słuchają, Graf gada —
Czasem się jakiś głosek serafina,
Niebieską skargą ojcu przypomina,
Czasem dwa tylko ciężkie odetchnienia,
Jakieś żałośne szmery i westchnienia,
I służebników tłum się niecierpliwi,
Bo słońce weszło — oni jeszcze żywi.
I dzień na strasznem zszedł oczekiwaniu,
Na skargach ojca, na dziecka płakaniu —
I księżyc weszedł, a ci dwaj straszliwi
W tajemniczości nocnej jeszcze żywi.
Śmierć ich mównymi uczyniła smutnie:
Ich głos w zamknięciu, jak dwie zgodne lutnie,
Ci co słuchali przez grube podwoje,
Mówią, że więcej tam głosów niż dwoje.

XI.

Oddawna wieści szemrzą poszept głuchy,
Że z grafem jakieś są po nocach duchy.
Raz go widziano, jak przez zamku cienie
Wodził za sobą dwa ciche płomienie,
Skrawe, czerwone, piekielne straszydła,
Mające oczy i włosy i skrzydła.
Ścigany przez nie wybiegał z komnaty
Tylnemi drzwiami, na ogród, na kwiaty —
I raz go z wody wydobyła zgraja:
Było to, mówią, w dzień trzeciego Maja.
Widziano jak biegł przez łąkę w zawody,
Ognie go, mówią, zagnały do wody —
Widziano jak się topił cały blady:
Zkądże ta rozpacz? i te ognio-ślady?
Gdy ziemia w nowe kwiaty się ustraja,
Gdy wszystko ciche w dzień wiosenny maja?

A już od lat wielu takie rzeczy —
Nikt nie przysięgnie i nikt nie zaprzeczy,
Wszyscy się boją wierzyć w takie dziwo,
W młodości, słychać, zgrzeszył bardzo krzywo,
Dlatego piorun za nim się pomyka,
Owiewa skrami, straszy, lecz nie tyka;
Tylko grobowym okrąży zapachem,
Aby go zabić krwią, albo przestrachem.
A mówiąc o tem ludzie z twarzą bladą,
Dodają: człowiek ten przewinił zdradą —
I sam się dzisiaj chce karać za zbrodnie,
Sam przyzwał piekieł czerwone pochodnie;
A kiedy przyjdą i nad łożem staną,
On się nakrywa chustą krwią zbryzganą! —
W tej chuście niegdyś mu kozacka spisa
Podała w nocy sąd na infamisa,
Gdy kraj zdradzony już był i rozdarty.
Ta chusta i te pargaminu karty
Leżą przy łożu koło puginału —
Niech Bóg go broni w rozpaczy od szału!
Biada! o, biada! gdy przy łożu siędzie
Śmierci przyczyna i śmierci narzędzie!
To dość dla serca, co się samo dręczy —
Widm nie potrzeba: sumienie wyręczy!
A rzecz straszniejsza! sumienie Wacława
Nabyło nawet nad uśpionym prawa!
On w nocy wstaje i z otwartem okiem
Po zamku chodzi niesłyszanym krokiem;
Czasem pochodnią sobie świeci nocną,
Oczy otwarte, wyiskrzone mocno —
Lecz jakby co się roiło w źrenicy,
Ani w nich mgnienia, ani błyskawicy.
Ani się światła blizkiego przelękną:
A gdy się wpatrzą w co — zda się, że pękną.

XII.

Znałem ja Grafa Wacława za młodu.
Dumny z piękności, z wysokiego rodu;

Drzewo, co później mogło czekać zimy —
On tak wyglądał, jak rycerz Solimy
Piękny i straszny, kiedy go koń kary
Niósł do kochanki przez burzanów jary,
Kiedy na jakie powietrzne wołanie
Stawał obejrzeć się gdzie na kurhanie.
Myślałbyś wtenczas, że to anioł stepu,
Pod błękitami niebieskiego sklepu
Stoi i czeka, aż wicher poruszy
Na jaką walkę skrzydła jego duszy.
Cóż się z nim stało? czy to moich powiek
Mara? — gdzie tamten anioł, rycerz, człowiek?

XIII.

Smutny był koniec jego pierwszej żony —
Dostała wcześnie anielskiej korony,
Zamordowana, utopiona w stawie,
Gdy na wojennej był Wacław wyprawie.
Mówią, że obce pomściły się prawa
Śmierci synowej na ojcu Wacława.
Jeżeli tak jest? O, Chryste na męce!
Jakie w tym rodzie serca! jakie ręce!
Mówią — że ojciec Graf w turmę zamknięty,
Umarł przed sądem — a drudzy, że ścięty —
Lecz takiej rzeczy myśl nie wierzy sama,
Na takim wielkim rodzie? taka plama!
Tak wielka szyja złamana nad gminem? —
Lecz ojcu nie mieć litości nad synem,
Ale zabójców nasłać na synowę,
I za pieniądze módz odkupić głowę! —
Gdy nieraz ołów ludzki się zagłębia
W serce orlicy, i za śmierć gołębia,
Nikt-że tej śmierci pomścić się nie umie
Na krwi wysokiej? na wyniosłej dumie?
Nikt-że — prócz syna — co za te popioły
Ojcowi musiał miecz pokazać goły?
Tak się więc zbrodnia ogniwami winie,
Że ojciec własny wroga widzi w synie;

Albo umiera, syna krwią czerwony,
Niepożegnany i nieprzebaczony,
Albo tak skala syna pierś łabędzią,
Aby mu nie był czystszym, ani sędzią:
Aż tam nareszcie stanie pochylony
Zdrajca narodu przed zbójcą swej żony;
Aż znowu wrócą pod zwyczajne prawa,
I od przedajnej głowy wyższa — krwawa.

XIV.

Ale to pewna, że śmiercią tej żony
Graf Wacław dziwnie na sercu zmieniony!
Ponurość ciemne okryła oblicze,
Serce zamknięte ludziom, tajemnicze —
Na czole duma. Gdy kto weń uderzył
Miłością czystą ojczyzny — nie wierzył,
Na wszystkie echa rozkoszy i jęku
Serce się jego już pozbyło dźwięku,
Coś ma cichego, okropnego w łonie —
Mówią, że myśli o polskiej koronie,
Króla w nim widzą przyjacielskie oczy,
Wielkość wyśledza głos fałszu proroczy.
Jam go opuścił śród tego zamętu,
Myśląc: i cóż jest twardość dyamentu!
I cóż jest wierność grobowi, pamiątkom —
W sercu najtwardszem? jakimże to wrzątkom
Daje się dusza unosić Wacława?
Chmurzy się niebo — burza będzie krwawa.
Więcej niż Boga, ta dusza tajemna
Zamyka w sobie — przyszłość będzie ciemna.
Bogdajbym nie zgadł! lecz smutna w nim siła:
Miłość to tknęła, boleść nie zabiła —
Więc jeszcze nadto w nim miłosnej siły
A już nikogo kochać — prócz mogiły! —
O! kraj nieszczęsny, co jak spadkobierca
Po żonie weźmie dar strutego serca! —
Ludu! przeżegnaj tę marę złowrogą! —
Ona na scene świata wchodzi z trwogą;

Myśli, że anioł ją rzucił obrończy —
Nieszczęściem zaczął — piorunem zakończy.

XV.

A dziś? — już koniec? Do Wacława gmachu
Weszła posępna królowa przestrachu.
Czy go kto otruł, czy struła zgryzota —
Kona, a przy nim synek, róża złota,
Gwiazdeczka ranna, także więdnie, gaśnie.
A w zamku bójka, kradzieże i waśnie:
Ten bierze sprzęty, ten ściany odziera;
Zamek się niszczy, pan zamku umiera.
Gdzie żona? — Ona w najciemniejszej sali
Brylanty chowa i papiery pali;
Nie sama — Greczyn w Arnauta stroju,
Leży na złotem wezgłowiu w pokoju —
Jak sułtan jaki wydaje rozkazy.
A nie powtarza wydanych dwa razy,
Bo go ta piękna słucha, myśl zgadywa,
I całuje go w ręce — nieszczęśliwa.

XVI.

„Dyano —!“ Przyszła, stanęła w pokorze —
„Zrzuć teraz piękna te ślubne obroże,
Wypogódź teraz czoło lodowate.
Lubię tę chłopkę, tę polską Hekatę;
A skoro tylko zabłyśnie Gingary,
Sam pójdę patrzeć jak zamawia czary,
I śmierć posyła ludziom z ciemnej groty.“

„O! Antynoe, już czuję zgryzoty,
A przecież śmierci męża jam niewinna!
Ona to! ona, ta kobieta gminna,
Musiała jakieś zemsty niepowszednie,
Lub spełnić jakie chłopskie przepowiednie;
A gdy ja chciałam, by ta wiedźma z piekła
Czarę miłośnem zaklęciem urzekła:
Ona — o, srogi i okropny błędzie! —

I może on mnie trupem kochać będzie,
I z grobu przyjdzie po miłość — umarły.“

Tu się powoli drzwi sali otwarły.
Struchleli nagle oba kochankowie:
Wszedł śpiący, z szmatą skrwawioną na głowie.

XVII.

Kto go tak ubrał? Nieraz synek mały,
Kiedy na ojca padał księżyc biały,
Widząc, jak w świetle twarz się Grafa mroczy;
Dwie białe róże kładł ojcu na oczy:
Lub w obłąkaniu — o! jasne i wdzięczne
Dziecka przysługi! — promienie miesięczne
Od ojca wzroku brał na swoje lica.
I tak zesmutniał cały od księżyca.
A dziś — okropność! miałżeby Wacława —?
Przy łożu chusta ta leżała krwawa —
Miałżeby synek ten łachman grobowy,
Może z anioła ciemnego namowy,
Na głowę ojcu —? O nie, ta czerwona
Chusta nie była w ręku Eoljona.
O nie — przysięgam święci aniołowie!
Syn nie położył mu tej krwi na głowie.
Bo mniej straszliwa byłaby ofiara,
Gdyby ojczyzny sama przyszła mara
Zajrzeć w lekarstwo, zaprawne piołunem,
I zdrajcę takim nakryła całunem,
Aby raz jeszcze, nim go Bóg obudzi,
Czerwono wrył się w pamięci u ludzi.

XVIII.

Cóż to? czy serce w tej kobiecie pękło,
O marmur czoło uderzyło, jękło —
Kość zadzwoniła, gdy czołem upadła,
Przed same nogi groźnego widziadła.
I dziwnie zadrżał, oczyma nie mignął,
Lecz cały zadrżał i cały się wzdrygnął—

I stanął chwilę we śnie, zadziwiony,
Jakby usłyszał zkąd o śmierci żony.
Lecz chwilę tylko chwiał się jak na szali
I nie obudził się — i poszedł dalej.

XIX.

Sen to, czy mara jaka niezbawiona?
Krzyczą po zamku, że Grafini kona.
Nie dowiedzieć się czego u Greczyna,
Krew w nim zastygła, zimny jak gadzina;
W pochodni światło obłąkany patrzy,
Chłodny jak kamień, od marmuru bladszy.
Grafini kona — mówią — on nie słyszy.
Zlękli się ludzie jego trupiej ciszy,
Trącają — milczy, jak widmo zaklęte,
Usta ma drżące, zęby mocno ścięte;
Wzięli, zimnego zanieśli na łoże.
Co się w tym zamku stało? Wielki Boże!
Tu śmierć nie czeka zwyczajnej kolei.
Grafini, mówią, była przy nadziei —
Wszyscy widzieli i tłum cały pyta:
Czy jeszcze żyje, czy z dzieckiem zabita?

XX.

Patrzaj! tam słońce nad Dnieprowe skały
Wyrzuca świetne brylantowe strzały.
Kwiaty ze łzami się podnoszą wdzięczne —
Tam w błękit czoło chowa się miesięczne.
Sarneczki złote na kurhany skaczą,
Róże się polne otwierają, płaczą —
Orzeł na krzyżu z rosy skrzydła trzepie.
Jaki spokojny wschód słońca na stepie!
Tylkoż w tym zamku złote słońce budzi
Z przerażonego snu pobladłych ludzi!
Tylkoż w tym zamku otworzą się oczy,
Które przed nocą mgła śmierci zamroczy!
Na cóż więc było na ten świat przychodzić!

Cierpieć, miłować, nienawidzieć, szkodzić:
Ażeby wreszcie słońce, dawno znane,
Weszło — ostatnie — i nie zapłakane?

XXI.

Graf Wacław woła. — Wybito podwoje?
Wchodzą. Czy trupów powalonych dwoje?
Graf Wacław — przy nim synaczek maleńki —
Zbladli — Graf woła księdza i trumienki —
Wyszli — pojechał kozak do stolarza.
Do grafa księdza wzięto od ołtarza.
Ksiądz ten pocieszać umiał nieszczęśliwe;
Spokojne lice i włosy miał siwe.
Obudził ojca, wziął go pod ramiona,
Postawił, krzyż mu przycisnął do łona,
Na złote słońce obrócił go twarzą,
Na róże, co się pod oknami żarzą,
Słońce i kwiaty, czy Boską mu chwałę,
Czyli dzieciątko to przypomną małe.
Dobrze, bo przerwą posępne rozpacze,
Bo może westchnie, przemówi, zapłacze? —
Nie — stoi martwy, twarz mu się nie mieni:
Tak w brylantowem powietrzu jesieni
Stoją bezlistne drzewa w szronu szacie,
I zadumane jak po jakiej stracie.
I przyszli ludzie z gotową trumienką;
Ksiądz się obrócił i znak im dał ręką,
I wzięli trupka po cichu wynieśli.
Ojciec nie słyszał tych ludzi — a jeśli
Słyszał, to udał dziwną licem chłodność —
Ostatnią dumę w nieszczęściu — łagodność.
I postradawszy tę dziecinkę drogą,
Już nie zapytał się o nią nikogo!
I tak był długo bez myśli, bez czucia,
Jak trup, nim dzieło zacznie sią zepsucia.
Ksiądz złożył ręce na piersiach i czeka
Na smutną spowiedź grzesznego człowieka.

XXII.

Usiadł—ksiądz słucha—on usty drżącemi:
„Księże! skończyłem już wszystko na ziemi.
Patrzaj! czy widzisz ten komin i tygle?
Bóg mię ukarał srogo, niedościgle;
Wiem, co w tej czarze było — o anioły!
Ogień miłośny i ludzkie popioły.
Wypiłem z moim synkiem przez połowę —
Co? może ojców mych resztki grobowe?
Strasznie pomyśleć: kto napój przyprawił,
Co mię otruło, jaki się duch zjawił,
Aby mi dzisiaj po nocy powiedział,
O czem grobowiec dotąd tylko wiedział! —
Cóż to za zemsta? jacy to nieczuli,
Co zdrajcę prochem antenatów struli?
Tym czystym prochem, zdradzonym nikczemnie,
Co się trucizną stał, gdy wstąpił we mnie!
A jakąż to myśl mieli ci mściciele,
Uśpione czucia budzić w mojem ciele,
Żyły nalewać znowu krwią namiętną,
Zbudzić to serce, gdzie zgryzoty piętno?
Wiedzieliż oni, co ogień poruszy
W czarnem sumieniu, w pokalanej duszy?
Jaka rozogni się krwi mojej zgniłość?
Co wyjdzie na jaw? — Zaprawdę, nie miłość!
Ale zgryzotę zbudzili i pychę! —
Przeklęci! serce już tak spało ciche!
Już tak popiołem i pleśnią nakryte,
Już tak spokojne! już takie zabite!
A teraz znowu krwią nalane wściekłą! —
Boleść w nim, burza, pioruny i piekło,
Wszystko, co ludzi przerażało trwogą —
Ale nie miłość — — Co kochać? i kogo?
Ach, gdyby nawet z grobu wywołani,
Gdyby ta nawet moja pierwsza pani,
Ta najkochańsza, najsłodsza umarła,
Wstała — to serce-by moje rozdarła.

Płakałbym może i z cierpień się skarżył,
Alebym kochać już nie mógł — nie ważył;
Bo na to trzeba jaśniejszej godziny
Niż starość ludzka, pełna krwi i winy;
Co jako skrawy chmurny zachód słońca,
Otwiera niebo bez Boga — bez końca."

XXIII.

„Księże! są o mnie haniebne powieści,
Nie wierz im wszystkim. Bez sławy, bez cześci!—
Nie jestem takim — jak ludzie niewinni;
Ależ ja więcej cierpiałem niż inni,
Ale ja większe miałem serce w sobie
Do nakarmienia. — Tam małżonka w grobie
Tam ojca sądzą mojego, o zgroza!
Na śmierć haniebną, na karę powroza! —
Mój teść otrzymał wyrok nie ojczysty —
Mój ojciec, mój ród dawny, dumny, czysty,
Wszystko to jedna godzina obali!
Dzisiaj to wszystko ważyłbym na szali,
Dzisiajbym wolał, o Boże! przed gminem
Powieszonego się nazywać synem! —
Lecz wtenczas! z hańbą grożone zamęściem,
Mój ojciec, mój ród, moje imię! — Szczęściem
Moj ojciec umarł — tak jak był powinien.—
Czemuś ty, księże, zadrżał? jam nie winien —
Że mnie widziano tej nocy przy turmie
W księżycowego wichru dzikim szturmie?
Na zapienionym żem uciekał koniu,
Żem pędził z głuchym tententem po błoniu,
Że ojca mego we krwi znaleziono
Nazajutrz — księże! rozedrzyj mi łono
I obacz serce, nim pójdę do trumny,
Bo mówię prawdę — lecz przysiadz za dumny."

XXIV.

„Jestem niewinien, ale nie wiem, czemu
W pamięci jestem podobny winnemu.

Bo wyznam tobie, żem tej śmierci żądał,
Nawet spodziewał się, czekał, wyglądał;
Bo i wieść o niej chwyciłem łakomą
Myślą, lecz zimno, jak rzecz już wiadomą.
Coś we krwi miałem, coś w myśli ustrzegło,
Co mi o śmierci tej pierwej przysięgło.
To kiedy przyszli zwiastować mi smutni
Ludzie, co chciwi męczyć, i okrutni,
Lubią posępnych słów oglądać skutek:
Wzgardziłem dumnie pokazać im smutek:
Lecz pokazałem lice zimne, szczere,
Już podniesione nad zwyczajną sferę;
Już w tej krainie cichej, wnętrznej burzy,
Gdzie nawet czoła śmierć ojca nie chmurzy,
Ale przechodzi wszystko ziemskie, mija —
Jady nie trują i miecz nie zabija.
Pokazałem im tę niezmienność czoła,
Które zmroziło dotknięcie anioła.
Wytłómaczyli to ludzie inaczej,
Ten marmur bólu — tę ciszę rozpaczy."

XXV.

„Ty wiesz, że dumni nieszczęściem, nie mogą
Za innych śladem iść tą samą drogą.
A gdy się duma z nieszczęściem wylęgnie,
To i Bóg czoła takiego nie sięgnie —
To nawet wiara nie pochyli głowy.
A cóż dopiero piorun, miecz, okowy,
A nawet ludzkie przekleństwo i wzgarda?
Tak była ciemna, taka była harda
Duma w tem sercu. Na co mię przywiodła —
Ty wiesz — lecz duszy nie sądź, bo nie podła.
Jam się nie rzucił, jak koń do zawodu,
Ja sam stanąłem przeciwko narodu!
A gdym się oprzeć musiał w rzeczy ciągu,
To się na wielkim oparłem posągu.
I nie szukałbym był podpory wroga,
Gdybym większego znalazł w sercu — Boga."

XXVI.

„Nie uniewinniam ja siebie, o księże! —
Jakie mię gryzły tu w tej piersi węże,
Jakie po nocach walki obłąkane
Z pamięcią, dumą, zaczęte, wytrwane!
Aż sumieniowi uczyniłem zadość:
Świadczą te oczy, to czoło, ta bladość.
O! trzeba było siadać nad mem łożem! —
Gdy we śnie serce mi coś pruło nożem! —
Gdy się budziłem w noc bez księżycową,
W ciemności, ze krwi piorunem nad głową.
Albo widm okiem do łoża przybity,
Zimny, i łzami, i potem okryty,
Nie wiedząc, czemu serce drży boleśnie.
Mówią, żem chodził po pałacu we śnie —
Nie wiem, lecz nieraz, gdy sen ciężki spadał,
Możem wstał, chodził, płakał, jęczał, gadał —
Możem z krwi rękę o rękę ocierał,
Możem zabijał i trumny otwierał,
Możem się dzielił z kim jaką mogiłą —
Nie wiem — bo o tem mi się wszystkiem śniło.
I nawet dzisiaj na mnie krew czerwona,
Na głowie — — Gdzie jest druga moja żona?" —

XXVII.

„Stój! stój! Nie szukaj tej kobiety, ojcze. —
Od innych ciosy okropne, zabójcze,
Lecz od niej gorsze ja rany poniosłem.
Ona zrobiła, że śmierć kraju zniosłem.
Anioł piękności i wróg nieodstępny,
Stała, gdy z hańbą walczyłem posępny.
Com cierpiał w sobie i com czuł — nie czuła,
Co w sercu mojem zmartwychwstało — struła,
Aż przyszło wreszcie, że dziś, jędza blada — —
Lecz z tego niechaj ona się spowiada,
To jej na sercu, to je kiedyś zrani.
Patrz! ja ten ogród zasadziłem dla niej,

Te drzewa, łąki, tam niby w obłędzie
Strumienie i na błękitach łabędzie,
I ta z marmuru „carrara" łazienka —
To dla niej. — Patrzę i serce mi pęka;
Bo to zostanie po mnie wszystko — długo — —
O! gdybym to mógł jaką krwawą strugą
Zalać i zniszczyć i duszę wyzionąć,
I z zamkiem i z nią i z wszystkiem utonąć!
Zostawić gruzy leżące na pował,
Którychby człowiek nie znał, nie żałował,
Nie myślał o mnie — tu błądząc, nie gadał:
Że tutaj zdrajca chodził, dumał, siadał,
Tu się śmiał z Boga, a tutaj łzy ronił —
A tu się w grocie kaskadą zasłonił,
Bojąc się słońca, co tę ziemię złoci,
I żył jak węże w zimnie i wilgoci!" —

XXVIII.

„Miłość ojczyzny — o! to słońce świetne
Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
Całe się czystym miłościom oddadzą.
Jako żórawie, co łańcuch prowadzą —
Świetniejsze serca wylatują przodem.
Umrą — ich duchy lecą przed narodem,
Ich wrzask, ich imię, ich lament — to hasła.
Gdy matka po nich zapłakana wrzasła,
Ojczyzna cała słyszy, leci, mści się;
W gołębiach wtenczas są serca tygrysie.
Umrą wygnani, to naród wysyła
Posłów — zapraszać, niech wróci mogiła.
A choćby nawet zapomnienie, nędza,
Jednego pacierz nad mogiłą księdza,
I wieczna cisza w grobie niepłakanym:
O! ja zazdroszczę tym czystym, nieznanym,
Ja, co się aż tam, aż do słońca darłem —
O! czemu ja też dzieckiem nie umarłem!
Czemu! — Ach wtenczas, księże, nie dla sławy,

Lecz przyleciałem był raz na bój krwawy,
Ażeby umrzeć. — Na Boga żywego,
Jabym się teraz nie miał chełpić z czego! —
Szyki się biły pod Maciejowicą:
Wleciałem, ściśle zamknięty przyłbicą.
Dziwny był ubiór, alem to miał zyskiem,
Że nie witano mię zdrajcy nazwiskiem;
Wreszcie i armat zakryłem się błyskiem.
I smutny w sobie, wpadłem we krwi morze.
Słyszałeś o tym żelaznym upiorze?
Długo to było między ludźmi sporem,
Kto był w tym ogniu rąbiącym upiorem.
O śmierci! ludzi tysiącznych morderca!
Nie chciałaś wtenczas tej krwi, tego serca! —
Lont nie chciał armat przedemną zapalać;
Kule się bały we krwi mojej zwalać,
I omijały, świszcząc koło ucha;
Miecz mój po karkach dzwonił jak miecz ducha.
Los miał okropną zbawić mię bezczelność —
Jam był ubrany w straszną nieśmiertelność.
Jaka w tem wola Boska! nie odgadnę,
I nie chcę myśleć — lecz gdy myślę, bladnę.
Sam na tem polu, gdzie psów wściekłych kupa,
Na koniu, nakształt siedzącego trupa!
Gdy z ciał wychodził obłok krwawy, dymny,
Gdy księżyc wschodził straszny, dymny, zimny
Stałem — wtem jeden z niedomarłych, blizko,
Wymówił moje przeklęte nazwisko;
Schylam się z konia — patrzę: krwią się broczy,
I krew mi swoją ten człek rzucił w oczy,
Dobyłem miecza — o! nie bladnij, księże! —
Choć syknął na mnie ten, gorzej niż węże,
Chociaż mię taką pieczęcią naznaczył,
Jam go nie dobił, alem nie przebaczył.“

XXIX.

„Księże — gdzie teraz Kościuszko? — w mogile
Kiedy żył jeszcze, były takie chwile,

Żem ja był wrogiem jego świetnej sławy.
Chciałbym dziś widzieć cień jego postawy,
Albo grobowiec przy bladych lawinach:
Musi być smutny, nad nim szmer w drzewinach.
Smutne tam duchy błądzą w księżyc świetny,
Wołając: ojcze! — choć on był bezdzietny.
Mówią, że idąc za trumny orszakiem,
Koń jego stawał przed każdym żebrakiem,
Tak nauczony za życia rycerza.
To wszystko, księże, serce mi rozszerza,
Łez pełne, burzę zapowiada ciemną.
Patrzaj, co stało się z nim — a co ze mną?“

XXX.

„Obróć tu, księże, twe łzawe oblicze —
Ileż ja w życiu chwil okropnych liczę!
Słuchaj, po śmierci kraju, już shańbiony,
Dom odwiedzałem mojej pierwszej żony.
O! co ja czułem, gdy lip poczet stary
Zaczął nademną swoje smutne gwary —
Kiedy się miesiąc w liść zabłąkał szumny!
Ja, co tam żyłem młody, jasny, dumny,
Z nią razem, ojcze! Ja, co w tej krainie
Myślałem niegdyś, że młodość nie minie! —
Wchodzę — trzy razy wspomniałem o Bogu,
Trzy razy, blady, przejść nie mogłem progu.
Przeszedłem wreszcie — w komnatach nikogo —
Ściany się zdały napełnione trwogą,
Że mię tam widzą samego w ciemności:
Ale w powietrzu jakiś szmer litości,
I coś szeptało: „nie płacz“ z każdej cegły —
A mnie okropne łzy po twarzy biegły.
Na cóż to przyszedł ów Wacław wyniosły,
Chwasty go same w tym gmachu przerosły.
Sam, o bogdajbym był sam! o shańbienie!
Starzec wychodzi w księżyca promienie,
Poznaję — mój teść — przy niepewnym świcie
Widzę, że w ręku ma jakieś zawicie;

Twarz jego dzika, okropna, surowa.
Rozwija — patrzę — ojca mego głowa! —
Po śmierci zemsty bezczelnej dokazał:
Wyjął z mogiły trupa i ściąć kazał.

XXXI.

„Tak to mi starzec zwiędłe serce kruszy!
Tak to anielstwo wypędzono z duszy!
Tak to myśleli, że mię zdeptać mogą —
Aż się od hańby obroniłem trwogą!
Lecz nie pomogło — bo jak od zwierciadła,
Od ludzi trwoga ta na mnie upadła.
Bo wyschły jak trup, po uczuć pogrzebie,
Jąłem się lękać nie Boga, lecz siebie.
Więc niech się skończy ten los, co mi cięży,
Niech w nieskończoność dusza się rozpręży;
Wszystko straszliwe, co się w serce ciśnie,
Niech się jak piorun wyrwie i rozbłyśnie.
Niechaj część każda pokalanej duszy
Dozna właściwych bólów i katuszy.
Lecz niechaj wszystko to w jednym mordercu
Zamknięte, w jednem nie gryzie się sercu.
O! były chwile okropne na świecie!
I ta noc — ! Księże — pociesz ty mię przecie!
Czy ty łzy tylko masz dla mnie z pacierzem?
Dla mnie, co stoję nad śmierci wybrzeżem!
Co tu widziałem, pełną tajemnicy
Śmierć w synka mego błękitnej źrenicy.
Okropność! jego usteczka różane,
Miłością jakąś obłąkane, pjane,
Z ognia oddechem, z lutniowemi gwary,
Pocałunkami tu goniły mary.
Widziałem moje sny młodości złote:
Zachwyty, miłość, niepokój, tęsknotę,
Wydane dziecka niewinnem obliczem.
Lecz on kochał nic, nie tęsknił za niczem —
A jednak tęsknił i kochał — — Widziałem,
Jak się w coś wpatrzył z obłąkania szałem.

Myślałem — biedny! czego on się męczy?
Łabędź w jeziora zakochał się tęczy —
Umarł nim zgasła, nie doczekał nocy.
Lecz ile było w nim ognia i mocy!
Jakie wyrazy tęskne, smutne, [illegible]zne,
Długo-echowe i melancholicz..
Z ust mu jęczały! Była jedna chwila —
Myślałem, że mu skrzydełka motyla
Z ramion wyrosną, że główka zaświeci
Ogniem niebieskim i w niebo uleci;
Bo na paluszkach wstał, rosnął w człowieka;
Myślałem, że już odemnie ucieka! —
Wrócił — przy nogach mi go ból pokonał,
W godzinie jednej kochał, cierpiał, skonał.
O, cud okropny! co iskrę słoneczną
W serduszku dziecka zamknął — miłość wieczną.
To, co ja dotąd w mojem sercu mieszczę,
To go zabiło — a ja cierpię jeszcze!
I jeszcze kocham i widzę to jawniej
W sercu, przed śmiercią, że kocham jak dawniej.
Tu! z krzyżem, księże! tu stawaj u czoła!
Niechaj myśl moja tych snów nie wywoła —
Niech nie przychodzi tu cień jej bladawy — —
Przyszła! Tam za nią stoi ojciec krwawy,
Włos jego siwy — O! to męki moje!
Ta para, ludzi tych w powietrzu dwoje!
A jednak twarze to może jedyne,
Co odpuszczają mi hańbę i winę —
Co widząc dolę znękanego twardą,
Jak inni ludzie, nie patrzą ze wzgardą! —
Maryo! nie idź za księżyc się chować,
Dobrze, żeś przyszła się tu ulitować!
Dobrze, żeś mi się duchem pokazała,
Taka posępna, i cicha, i biała,
Jak gdyby za mną w mogile tęskniąca! —
Maryo, czekaj zachodu miesiąca —
Pójdziemy razem — gdzie? — ja nie wiem. — Księże!

Wkrótce me ciało już ziemię zależe,
Na długie słowa już mi braknie czasu.
Każ uszyć nową jej suknię z atłasu,
Każ włożyć wianek z róż świeżych uwity,
Niech ją obmyją, ubiorą — kobiety —
Pamiętaj — trumna to od wejścia czwarta —
Patrz, jak ta szata już na niej podarta.
Czy dobrze? — Zrób to, nim promienie świtu —
Patrz — uśmiechnęła się na to z błękitu — —“

XXXII.

„Nie mów nikomu o mnie, sługo Boży!
Niech mój grobowiec ludzi długo trwoży.
Weź i tę chustę — choć krwią powalana,
Możesz ją złożyć przed ołtarzem Pana,
Albo — — Dlaczegoś drgnął przed tym rozkazem
Powieś tę chustę przed Panny obrazem—
Musi być święta krew, co ją broczy,
Bo mi ją kiedyś naród rzucił w oczy.
Więc to męczeństwo pobladłego czoła,
To mój ostatni jest dar dla kościoła.
I jam coś ciernia czuł w mojej rozpaczy:
Może Bóg wspomni na to, i przebaczy.
Żalu mojego najlepszą jest próbą
To upodlenie moje — i przed sobą.
Co będzie z moim duchem nad mogiłą?
Pewnie nie gorzej, jak to, co już było.
W dumie mej jeszcze przynajmniej zachodzę,
Że mnie przed śmiercią broni uledz trwodze.
Gdy przy tem łożu nic, tylko rozpacze—
Gdyby mniej dumy, płakałbym — i płaczę.
Lecz coś jest we mnie, gdy w grób muszę wchodzić,
Z czemby się żadne łzy nie mogły zgodzić.
Wściekłość na siebie, żar, co się nie studzi,
A nawet, księże! jakiś żal do ludzi:
Jak gdyby oni byli winni zdawna,
Że się krew we mnie zaczerniła sławna,

Lecz nie — i myśl ta nie może pocieszyć.
To wszystko.—Księże, czy śmiesz mię rozgrzeszyć?
Olej, co czyni w Bogu śmierć wesołą,
Czy się odważysz lać na zdrajcy czoło?
Jam nie żałował i nic nie naprawił,
Kraj jeszcze we krwi — a ja go zakrwawił;
I długo będzie ta krew po mnie płynąć!
Tysiące walczyć i tysiące ginąć — —
Po mnie nieszczęścia, więzienia i wojny —
I mógłżebym ja w grobie spać spokojny?
O, nie! nadzieja jest szaleństwem dla mnie —
A jednak — starcze! ty módl się i za mnie — —!“

XXXIII.

Graf Wacław skonał. O, domysłów płonność!
Na lice wyszła trucizny zieloność —
Ale krew jego już dawno zepsuta.
Ciągła samotność, łzy, wzgarda, pokuta,
To nieraz także te trucizny duszy
Wyjdą na ciało, zwiędłe od katuszy —
I nieraz lice trupowi odmienią,
Połamią, poskrzą, zsinią, pozielenią.
Więc może i te splamienia Wacława
Nie z gwałtu poszły, lecz z natury prawa;
Lepiej tak wierzyć niż oskarżać ludzi.
Niech się podstępna ciekawość nie trudzi;
Gdy ziemia z siebie rzecz przeklętą zrzuci,
Niechaj spokojność w tłum zmieszany wróci.
Lecz nie! Ten zamek wre skargą i gwarem!
Domysły rosną z niepokojem, swarem.
Mówią, że pani chciała ukryć winę;
Mówią, że miała otrucia przyczynę —
Jaką? — nie można wierzyć w takie baśnie.
Miałażby otruć małżonka — a właśnie
Zadatek nowej miłości i wiary
W jej łonie? — Po cóż przy kołysce mary?

XXXIV.

Po ukraińskich stepach syczą żmije:
Pogrzeb się czarny z pochodniami wije,
A za pogrzebem groźny wicher wyje.
Smutno, posępnie przez kurhany płynie,
Pogrzeb możnego pana w Ukrainie.
Z każdej mogiły ognista kolumna
Wytryska w niebo, gdy nadchodzi trumna.
Już przeminęła, a jeszcze czerwono
Wszystkie kurhany w Ukrainie płoną
I rozmawiają cicho o pogrzebie.
Gwar na tym stepie, a cisza na niebie.
W ziemi grobowej głucha trupów wrzawa,
Bo między niemi stanął trup Wacława.

XXXV.

Człowiek? czy widmo? — Jakiś duch z burzanu
Wyszedł na czoło ogniste kurhanu,
Pogroził ręką: „Zdrajco! otóż tobie
Trucizna — w przodków wypróchniałym grobie!
Idź trumno czarna z ohydnym człowiekiem,
Z trupem, co mojem wykarmiony mlekiem.
Idź w ogień piekła za narodu zdradę!
W kołyskę kładłam i w prochy cię kładę.
Dzieciątko moje ty i moja żmijo —
Ziemia cię zmrozi, robaki spowiją!
A choć krew twoja kiedyś winę zmaże,
Tego ci Pan Bóg zwiastować nie każe.
Tak pożegnawszy resztki pana zgniłe,
Zapadła wiedźma w burzan, czy w mogiłę.

XXXVI.

I znów na zamku jasnych świateł krocie,
Księżyc w ogrodach, szum kaskady w grocie,
I znów tam cicho, i kaskada grzmiąca
Znowu się srebrzy na blasku miesiąca.
Mówią, że łabędź i róża czerwona

Szepcą w powietrzu imię Eoljona —
Gdy wszystko ścichnie wieczorną godziną,
Gdy róże płaczą i łabędzie płyną.
A o dzieciątku tym z twarzyczką ducha
Została jakaś ciemna powieść, głucha.
Mówią, że raz go widziano w tej grocie,
Całego w gwiazdach, w promienistem złocie:
Duchy powietrzne, za tęczową szarfę,
Przyniosły jemu zapaloną harfę.
Usiadł — do ognia strun przybliżył ręki:
A pierwsze z harfy westchnienia i dźwięki
Zwołały wszystkie łabędzie z ogrodu,
A drugie tony, jak jęki narodu,
Co cicho konać i cierpieć nie umie,
Zrobiły szelest w tym łabędzi tłumie.
A gdy śpiewaka pieśń i tony rosły,
Wszystkie się razem łabędzie podniosły,
I poleciały płaczącym orszakiem
W niebo gwiazdziste, z harfą, ze śpiewakiem?
I znikły, długo widziane na górze,
Jak girlandami spięte białe róże,
Ulatujące w niebieskie krainy,
Dosłuchać harfy tej cudnej dzieciny.
Nie wiem, czy wierzyć — lecz cuda są wszędzie —
I odtąd znikły w ogrodach łabędzie,
I szafirowych wód nie krają łonem,
Bo poleciały wszystkie z Eoljonem.
A Bóg nam wieszczów zostawiać nie raczy,
Odkąd zabrakło już białych słuchaczy.

PODRÓŻ DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

Z NEAPOLU.

POEMAT NIEDOKOŃCZONY

(1836).

PIEŚŃ PIERWSZA.
WYJAZD Z NEAPOLU.

1.

Muzo mdlejąca z romantycznych cierpień,
Przybądź i pomóż! Wzywam ciebie krótko,
Sentymentalna, bo kończy się sierpień,
Bo z końcem sierpnia i koniem i łódką
Puszczam się w drogę przez Pulię, Otranto,
Korfu... Gdzie jadę? powie drugie canto.

2.

Tymczasem pierwsze opowiedzieć musi,
Zkąd się wybrałem, po co i dlaczego?
Chrystusa dyabeł kusił, i mnie kusi;
Na wieży świata postawił smutnego
Życia nicością, i pokazał wszędzie
Pustynie, mówiąc: „tam ci lepiej będzie.“

3.

A jednak, gdyby mniej pamięci bolu,
Zachceń i marzeń, a więcej rozsądku,
Toby mi dobrze było w Neapolu,
Gdzie przed oknami na prawym przylądku
Widziałem szare więzienie stolicy,
A zaś Wezuwiusz górą, po lewicy.

4.

Błękitne morze pomiędzy więzieniem
A między górą popiołów i lawy
Czekało ciche, aż góra płomieniem,
A konstytucyą buchnie wulkan prawy.
Tak było niegdyś, nim się na Francuzów
Król i Fra-dyabeł ruszyli z Abruzów.

5.

To jest za króla ruszał się kardynał,
Za kardynałem Fra-dyabelska banda,
Ta rozgrzeszała, rak czerwony ścinał
W imieniu Boga, Papy, Ferdynanda;
Gdy zaś wyrąbał Kyrie Elejson
Litanią świętych, wyręczył go Nelson.

6.

Mówiłbym dalej, ale *Pan Podstoli*,
Dziady, a zwłaszcza tych *Dziadów* część czwarta,
Uczą porządku w opowiadań roli,
Rysując proste ścieżki. Więc do czarta
Mego pegaza wyskoki, i liczne
Opowiadania semi-historyczne!

7.

Więc do porządku! A jednak mię boli
Dawać odsyłacz do pana Coletty,
Gdzie opowiada, jak trup Caraccioli
Z łańcuchem u nóg na morzu... Niestety,
Przyrzekłem trzymać wędzidło na pysku
Apolinowym. Lecz powiem w przypisku.

8.

A jeśli drukarz znajdzie, że do treści
Z podróży wątkiem zlewa się przypisek,
To go pod strofą poprzednią umieści,
Zmazawszy parę skrzyżowanych kresek,

I nie dozwoli, by za gwiazdek tropem
Czytelnik gonił z Herszla teleskopem.

9.

Przypisek winien być pisany prozą,
Lecz ja nie mogę pisać, tylko wierszem.
Ktoby pomyślał, że mnie rymy wiozą,
Że sobie konno usiadłem na pierwszym,
A za mną drugi jedzie krok za krokiem
Rym z parasolem, z płaszczem i z tłómokiem.

10.

Wierzcie mi jednak, że leksza od rymu
(Dla śniegów jechać nie mogłem przez Turyn)
Para mnie gnała z Marsylii do Rzymu;
Do Neapolu zaś przywiózł veturyn.
Carozze jego i cabrioletti
Zalecam wszystkim — zowie się Paretti.

11.

Zalecam nowy hotelik Vittoria,
Który staremu nie ująwszy sławy,
Tak się podzielił famą, jak cykorya
Wmieszana zgrabnie do mokańskiej kawy.
I marmurami, wygodą i luxem
Ze starym idzie, jak Kastor z Polluxem.

12.

Zalecam także (zostanę Astolfem,
Bo mój hipogryf staje się skrzydlatym),
Zalecam tobie mieszkanie nad golfem
Na świętej Łucyi; a jeśliś bogatym,
Jeśli ci kura złote nosi jaja,
Mieszkaj przy Villa Reale, na Chiaja.

13.

Dosyć już, dosyć! Wyznaję ze wstydem,
Że pohamować nie umiejąc weny,

Z wieszcza zostanę prozaicznym gidem;
Ja, com zamierzał wypłakiwać treny
Nad Caracciolim i kląć Ferdynanda,
Dziś piszę, jaka gdzie stoi lokanda.

14.

Bo też kto dzisiaj jest na stałym lądzie
A jutro myśli wędrować po morzu,
A pozajutro jeździć na wielbłądzie,
Nie jedząc mięsa, ani śpiąc na łożu:
Chciałby Europę, co mu z oczu znika,
Unieść jak Jowisz przemieniony w byka.

15.

Gdzieś porównanie podobne w Szekspirze
Na Niderlandach kończy się zamknięte...
Lecz ja wyjeżdżam pod Golgoty krzyże
Po święte myśli i szkaplerze święte,
Więc przed wyjazdem robię ślub niezłomny,
Że będę nieco zabawny — lecz skromny.

16.

A jeśli kiedy mój przyjaciel Szekspir
Na złą myśl zagna rymy buntownicze,
Położę jaki suspir albo expir;
Z muzyki — znaku milczenia pożyczę
I muzę moją w rymowym balecie
Na zakręconym wstrzymam piruecie.

17.

O Neapolu! ty niepożegnany
Czekaż, aż ciebie pożegnam epicznie.
Jak biała Wenus, urodzona z piany,
Wyszedłeś z morza zapłoniony ślicznie
Skrawemi słońca zachodniego łuny,
Cichy, pod górą, co ciska pioruny.

18.

O Neapolu, gdzie jest twoja dusza?
— Bo duszą twoją nie jest ruch i życie! —
Patrzę na ciebie z grobu Wirgiliusza,
A ty na niebie i na fal błękicie
Tak roztopiony w zorzy malowidła,
Jak upuszczona na brzeg bańka z mydła.

19.

O Neapolu! wieczorne wyziewy
Twym są rumieńcem, twe dymy są tęczą.
Harmonizujesz się tak, jako śpiewy
Z ciszą powietrza; twe dzwony nie jęczą;
A twój domami okryty pagórek
Ma białość lekkich na błękicie chmurek.

20.

Tylko po Chiai i po Margelinie
Idą przeciwne sobie dwa rynsztoki;
Rój mrówek lezie i rząd karet płynie,
Wszystko się rusza. Grób wieszcza wysoki
Właśnie tam stoi, *dove fa li torso*
Ulica; — z grobu patrzałem na Corso.

21.

A choć przejeżdżał w prześwietnej osobie
Królewicz mały, choć mu się rój kłaniał,
Jam się nie skłonił, bom siedział na grobie.
Masztalerz jechał i kijem rozganiał
Mrówki idące w przeznaczenia drogę
Z królewiczami..... gdzie? zgadnąć nie mogę.

22.

Choć bardzo lubię filozofię Kanta,
Gniewam się na nią, że ludzi nie uczy,

Gdzie iść po śmierci. Wolę piekło Danta:
Właśnie je czytam podług nowych kluczy,
Które przyczyną może będą schizmu
Mówiąc, że Dante chciał republikanizmu.

23.

I w poemacie używał języka
Sekretnych związków. A gdy tajemnicze
Kładł majuskule, to podług krytyka
Na końcu rymu położone B. I. C. E.
Wcale znaczyło co innego w pieśni
Niż Beatricze. Wam się o tem nie śni!...

24.

A ja dowodzę, że Dant o kochance
Nie śnił, a jeszcze mniej śnił o Vororcie *)
Albo Konwencyi — i nie topił w szklance
Cesarza Niemców, i w piekła retorcie
Nie smażył rządu lepszego, co przyjdzie,
Jak niegdyś Platon kiep na Atlantydzie.

25.

Z grobowca wieszcza widzę, jak nad głową
Wulkanu księżyc wysunął się biały,
A u stóp góry Castello dell'Ovo
Zamek podobny do sterczącej skały,
Gmach, co się trzyma przez królewską wolę
W morzu, jak jaje Kolumba na stole —

26.

Zczerniał przy fali migającej złocie; —
A gdy na niebie szafirowem ze dna
Gwiazd zapalonych wychodziły krocie:
I z okien zamku błysła gwiazda jedna

*) Vorort Dyrektorat federalny w Szwajcaryi. (P. W.

Czerwona, rubin zamglonych błękitów,
Siostra błyszczących gwiazd — u Karmelitów.

27.

O gladyatory, wydarci ludowi
W godzinie zgonu i mrący na słomie!
Idę powiedzieć o was Chrystusowi
Pod Jego krzyżem, w Jego męki domie;
Idę zapytać głośno w Oliwecie,
Gdzie się zbudzicie i zmartwychwstaniecie?

28.

I tam, gdzie Chrystus zapłakał sam w sobie,
Z oliwy bladej gałązki rwać będę;
A jeśli znajdę, że już śpicie w grobie,
Liściami płaczu posypię tę grzędę,
Pod którą będzie cichy sen grobowy —
Kości bez czaszek i trupy bez głowy.

29.

Żegnam i ciebie, o garsteczko prochów,
Leżąca zawsze pod laurem klasycznym;
Turkot powozów z Pauzylipu lochów
Woła pod tobą hymnem romantycznym,
Że sława przejdzie, a bryki nie przejdą,
Że ta bryk droga jest wieku Enejdą...

30.

Most pod Tamizą jest kupców Iliadą —
I wiele będzie do sprzeczki powodów,
Czy jeden Rotszyld, jak wieszcz nad Helladą,
Czy też brzęczących kompania Rapsodów
Autorem mostu, gdzie w oknach przez szyby
Anglikom się w twarz przypatrują ryby.

31.

Lecz niech mię ciemność Erebu ogarnie,
Jeśli okłamię Pauzylipu grotę!

W ciemny korytarz spadają latarnie —
Jedna za drugą, jak gwiazdeczki złote;
A tam, gdzie nikną i gdzie ciemność krucza,
Światło dnia wpada, jak z dziurki od klucza.

32.

I jeszcze wyżej wzniosłszy się na duchu,
Powie ci muza w opisaniach szczytna,
Że na uwitym z latarni łańcuchu
Zawisła mała gwiazda dnia błękitna,
A w tej gwiazdeczki lazurowem łonie
Rodzą się ludzie, powozy i konie.

33.

Rodzą się, rosną i w latarni błyskach
Idą, większejąc, długim korytarzem.
Jeżeliś nie był w romantycznych spiskach,
A jesteś przyszłych wulkanów malarzem,
Tu, nie lękając się dyb i powroza,
Zbieraj modele, jak Salvator Rosa.

34.

Lecz chodźmy w miasto! Już księżyc wysoko,
A golf ubrany latarni przepaską.
Stolico! gdzie nikt nie myśli głęboko,
Gdzie zabroniono nawet myśleć płasko,
Niech twój rząd stworzy jakie słowo święte
Na niemyślenie, jak na *far-niente!*

35.

Dyogenesów lud rynki zasiada.
Czego chcesz? — pyta wolność Lazarona:
Zejdź z mego słońca — nędzarz odpowiada.
Jeżeli nie ma karlinów, to skona
Z głodu i pójdzie do łódki, gdzie Charon
Dusze przepławia..... wolność? czy Lazaron?

36.

Wolność!... Już dla niej uszyto symarę
Z gazet *Giovine Italia*... Lazaron
Będzie żył, póki ma *frutti di mare*,
Niebo błękitne i żółty makaron,
I koszyk, w którym leży jak ostryga.
Pytasz się, co w dzień porabia? — dościga!...

37.

A młodzież lepsza, co ma grosz w kieszeni,
Tytuły contów i w oknach firanki,
W cieniu dopiero się ledwo zieleni...
Kto temu winien? — Neapolitanki!...
One to winne, że się lud nie budzi;
Bo kto z młodzieży umie robić ludzi?...

38.

Ja wiem, że wiele winienem kochance;
Sama po włosku uczyła mnie czytać,
Improwizować (ale nie przy szklance),
Brwi smutnie marszczyć, we śnie płakać, zgrzytać,
Na Archipelag uciekać po laur
I awantury — jak *Korsarz* i *Giaur*.

39.

Ona uczyła mnie chodzić, jak scenarz
(Lepsze niż aktor słowo niech zostanie);
Wmówiła we mnie, że zamiast Ojcze-nasz
Lepszą modlitwą... księżyco-wzdychanie;
Dziś mię nawraca bez żadnego skutku
Na katolicyzm... mam religię smutku!

40.

I odpisałem... co? już nie pamiętam —
Coś odpisałem, lecz nie tak gorąco,
Jak Russo — ani tak sucho, jak Bentham:
„Jako dwie skały, kiedy je roztrącą

Strumienie rzeki, choć je nurt rozdziera,
Patrzą na siebie niebem“ et cetera.

41.

I znowu wspomnień pieśń dzika, echowa,
Zagrała w sercu i łzy moje płyną.
O Ludko! dziecka kochanko, bądź zdrowa!...
Jeżeli kiedy pod tą jarzębiną,
Co nieraz kładła koralowe grona
Na twoje włosy, siądziesz zamyślona,

42.

Jeżeli książkę położysz przy sobie,
Jeśli szalona ta pieśń z tobą będzie: —
Kart nie odwracaj!... bo nim spocznę w grobie,
Będę ci śpiewał, jak mrące łabędzie
Tak nieśmiertelnym płaczem, że raz jeszcze
Łez brylantowych osypią cię deszcze.

43.

I łzy się żywe rozbiegną po łonie
I strumień palce różowe otworzy
Jeśli spłakaną twarz ukryjesz w dłonie.
Ja wtenczas będę spokojny, jak w zorzy
Gwiazda niknąca, blady, lub z obliczem
Pełnem promieni Boskich... albo niczem.

44.

Jednak jeżeli Ten, co jest na niebie,
Słyszał o słońca mówione zachodach
Modlitwy moje — wszystkie nie za siebie,
A tak rozlane na świat, jak na wodach
Mórz lazurowych rozlewał się cały
Krąg tonącego słońca skrawo biały;

45.

Jeśli Bóg wiedział, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć

I nie przeklinać... i drogą bezludną
Iść po tym świecie szalonym, i niknąć,
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,
Myślą tą modlić się... i nie przeklinać;

46.

Jeśli i Boga nie zwiodła udana
Spokojność moja, ta Chrystusa szata,
Krwią poplamiona i drugi raz wdziana
Na duszę pełną bólu... i ze świata
Uciekającą na chmurach jesiennych
We dnie tak smutne, jak noce bezsennych: —

47.

To mojej duszy, dobytej z popiołów,
Da wiele ciszy — i na jaką bladą
Gwiazdę do smutnych krainy aniołów
Przeniesie senną. Trupi prędko jadą,
Mówi poeta ballad w Leonorze;
Więc na niemieckim chciałbym siąść upiorze

48.

I ruszyć w podróż; bo się pieśń przewlecze
Nie jedną jeszcze przerwana ideą.
Jutro kuryerem wyjeżdżam do Lecce,
Jutro więc zacznę śpiewać Odysseą,
Albo wyprawę o Jazona runach
Na nowej lutni i na złotych strunach.

PIEŚŃ TRZECIA.

STATEK PAROWY.

Na morze statek wyleciał parowy;
Wre para, słychać dźwięk żelaza szklanny...
A jako z płaskiej wieloryba głowy

W niebo srebrzyste tryskają fontanny,
Tak z pod okrętu młyńskiem bita kołem
Wytryska piana — a dym leci czołem.

Jeszcze nie rzucę porównania, chyba
Słów mi zabraknie. Ogień wre zamknięty
W drewniano-smolnem łonie wieloryba.
A jako niegdyś płynął Jonasz święty,
W łonie okrętu bez desek i miedzi
Wesoło, w licznem towarzystwie śledzi,

Zapewne nieraz śmiejąc się z kłopotu
Trawionych flądер, ostryg i czefalów;
Tak nasz kapitan i wódz paketbotu
Z pasażerami, jak z tłumem wasalów,
Otyły, wesół, dowcipny i mądry
Nas ma za śledzie, ostrygi i flądry.

Tu majtek rudel obraca mosiężny;
Dalej zantejski sędzia i sędzina,
A między nimi synek niedołężny,
Sędziątko z twarzą zwierzęcą kretyna,
Może przekleństwo jakiego klienta
Ubrane w takie ciało, jak zwierzęta.

Zdziwiony patrzy na okręt i twarze;
Nie wie, co znaczą łzy na matki licu,
Nie wie, że przezeń Bóg rodziców karze;
A nam widniejsze góry na księżycu,
Morza przy górach i na morzach statki,
Niż temu dziecku łzy na oczach matki...

Kapitan krzyknął Wirgilem: „*et tantae,*
Tantaene divis coelestibus ira?“
Na to się podniósł graf Solomon z Zante,
Poeta grecki; ucho mu rozdziera
Zmiana wyrazów i kradzież średniówek;
Więc chciał poprawić — lecz żałował słówek.

Może też słabość; bo prędko rękoma
Wziął się za serce i na dwóch lokai
Głośno zawołał nazwiskami dwoma;
Bo skoro tylko jeden się narai,
Zaraz poeta na drugiego krzyczy,
Aby wiedziano, że dwóch w służbie liczy.

Wielki poeto! Jako między skały
Rzucony Tytan, tak ty w puchowniczki
Strącon słabością; a twój surdut biały
I glansowane białe rękawiczki
I twój z usłużnych lokajów paszalik
Świadczą, że jesteś *coxcomb* lub migdalik.

„O! znam ja ciebie, której ręka trzyma
Miecz w piorunową uzbrojony jasność;
O! znam ja ciebie, skrawemi oczyma
Na świat patrzącą, jak na przyszłą własność...“
Z takim to niegdyś do Wolności żarem
Przemówił ów graf — i został Pindarem.

Gdy go raz wieńcem uwieńczyła oda,
Mówią, że dzisiaj co napisze, spali;
Mówią, że wierszy popalonych szkodą;
Mówią, że przy nim wszyscy wieszcze mali.
Szkoda, że zamiast wiersze chować w szafę,
Czyni z nich codzień pan graf *auto da fé!*

Przy tym poecie, co był tak ognistym
Wewnątrz, a zwierzchu drżał jak galareta,
Siedział na środku w krześle rozłożystem
Senator, starzec z twarzą Epikteta,
Z uśmiechem słodkiej starości na twarzy,
Z podagrą w nogach, z tłumem sekretarzy.

Jeden sekretarz był jak kropla wody
Podobny... Muzo, cyt! niechaj opinia
Żadna i żadnej nie poniesie szkody.
Taki był pokład. Dalej biała linia

Od indywiduów oddzielała masy,
To jest podróżnych, ale drugiej klasy.

Tam pod żelazną kolumną komina
Siedział Grek w czapce czerwonej i Turek,
Wzajemnie dymy rzucając z bursztyna;
A między nimi z tłómoków pagórek
Żółtych i czarnych — a koło tej góry
Kuchnia, kuchciki, kucharze i kury.

Przy piersi matek rozpłakane dzieci,
Przy bokach starców stoją flasze z gliny;
Czasem iskierka czerwona wyleci
Z czeluści statku i pomiędzy liny
Błąka się długo, nim zagaśnie smutna,
Nie doleciawszy pod namiotu płótna.

Nad pierwszą klasą cień i lekkie chłody,
Nad drugą klasą cięży jakaś para
I komin sypie deszczem wrącej wody.
Proszę! za czworo nędznego talara
Można uniknąć piekła..... ale za to
W Paryżu nazwą cię arystokratą.

Miło tak płynąć w tym okrągłym świecie
Po morzu cichem, jasno-lazurowem.
Wkrótce choroba z pokładu wymiecie
Tłum pasażerów, i zostawi zdrowym
Odgłos dalekiej po salonach czkawki,
Rozległy pokład i bezludne ławki.

Cicho. Dzień cały po błękitach bije
Okręt kręconą machinami skrzelą,
Już zbłękitniało Korfu — już się kryje;
Już się fortece Santa Maura bielą;
A z drugiej strony przedzielona żwirem
Forteca Turków, w górach pod Epirem.

Ta ani w buńczuk ustrojona koński,
Ani w błyszczące pióra półksiężyca,

Cicha jak kamień: kiedy zamek Joński,
By ustrojona do ślubu dziewica,
Ma kwiat na głowie, tysiąc iskier w oku,
Bukiet z latarni portowej u boku.

A niech wie każda poetyczna Laura,
Każda sawantka z twarzą bardzo bladą
I księżycową, że ta Santa Maura
W starożytności zwała się Leukadą,
I pod błękitnym unosi obłokiem
Skałę wsławioną biednej Safo skokiem.

Znałem... lecz szczęściem uleczoną z żalu
Safonę, bardzo podobną do greckiej.
Ta się nieszczęściem kochała w żołnierzu,
A żołnierz zginął na wojnie tureckiej;
Ta poszła zabrać na Warneńskiem polu
Zwłoki — a uszy w Konstantynopolu.

Smutna, ubrana w kwiaty sympatyczne,
Poszła nieszczęsna na brzegi Marmora,
Kędy osobne biuro statystyczne
Liczyło uszy z rana do wieczora
I oddzieliwszy od niezgrabnych zgrabne,
Nizało sztucznie na sznurki jedwabne.

I przyszła sama, smutna jak Armida,
I rzekła z płaczem: „oddajcie mi skarby!“
— „Jakie?“ rzekł gruby Emir Bej Raszyda.
Chciała powiedzieć, lecz rumieńca farby
Zeszły na twarzy płaczącej dziewczynie,
Bo nie znalazła frazesu w *Korynie*.....

„Wróćcie mi, wróćcie!“ i znowu zamilka,
Patrząc na skarbów znizanych pół-pluton.
Zrozumiał Emir i dał sznurków kilka,
I gładząc brodę, śmiał się jak bóg Pluton,
Śmiał się, zważając na prośby szalone —
Orfeuszowskie, co prosił o żonę,

I musiał piekłu grać, jak Paganini,
Na jednej strunie cały płaczu kwartet.
Ale powróćmy do naszej bogini:
Chciała z rozpaczy umrzeć *broken harted*,
Więc wiodła ciągłą z doktorami sprzeczkę
O krwi troszeczkę i jeszcze miseczkę...

Skało Leukady, tykająca nieba!
Śmiej się echami grot tłuczonych falą
Z lancetów, mdłości i pigułek z chleba! —
Noc bezmiesięczna i gwiazdy się palą —
Sam na pokładzie, wichrem bity, blady,
Płynę przy skale nieszczęsnej Leukady.

Piana pod piersi okrętu się garnie,
Stukanie pompy jak dźwięk idzie rymu;
Na maszcie statku błyszczą dwie latarnie
Pod obłokami kirowego dymu;
Zda się, że światła te, zamglone sadzą,
Okręt w krainę piekielną prowadzą.

Te same gwiazdy i ta sama skała,
To samo morze! Lecz gdzież na tej skale
Postać kochanki pogardzonej biała
Jak drugi księżyc? gdzie? tu — o dwa cale,
Pod tą podłogą, gdzie lampa się pali,
Safo śpi jakaś — sama, w kobiet sali.....

Raz tylko wyszła na pokład i słońce,
Siadła na ławce, spojrzała w błękity
Tak mglistem okiem, że się zeszły końce
Rzęs długich, czarnych — i wzrok był przykryty
Cyprysem oczu; nie spojrzała w żadną
Twarz na pokładzie. Kiedyś była ładną.

Zniszczył ją smutek. Smutna poszła w ciemność
Na dno okrętu; a zwierzchu mówiono,
Że tę kobietę dręczy niewzajemność,
Że przed miesiącem była mniej niż żoną,

Więcej niż..... dyabła! niech dokończy życie.....
Że ją angielski porzucił oficer.

Mój czytelniku, uderz się ty w piersi!
Bądź na pokładzie okrętu, w noc ciemną,
Przy skoku Safo, a będziemy szczersi.
Ja ci opowiem, jaki cień był ze mną
W ciemnościach nocnych... co za mną tułaczem
Biegło po morzu z przekleństwy i płaczem.

Sumienie moje, niewidome światu,
Jak Nereida wyszło z morza głębi;
Na czole pełne liliowego kwiatu —
I znów, jak Wenus, na wozie gołębi
Leciało między gwiazd sferami śliczne,
Pół chrześciańskie, pół mitologiczne.

Bo przez noc całą tak ciemną i mglistą
Co robić? — serce własne gryźć i kąsać?
Trzeba nareszcie zostać panteistą,
Poznać się z duszą natury i pląsać
Z czarownicami, co się stają widne,
Podług strawności — piękne lub ohydne.

Ave Maria! Już rosy brylanty
Sypią się z nieba i niebo różowe.
Już przypływamy — i nad czołem Zanty
Widać fortecy uzbrojoną głowę
W niebie, nad miastem. Już wychodzą różn
Na pokład statku zmytego podróżni.

Ten pije kawę, ów rozciąga członki;
Wszyscy się zdają rozrastać jak krzewy.
(Nasze by damy mówiły koronki.)
„*Bon jour!*“ Tak do mnie akcentem z Genew
Przemówił młody Zantejczyk, figura
Przez lat dwanaście kształcona na *jura*.

Przez lat dwanaście uczona w Genewie,
Zdala od ojca, matki i ojczyzny...

Może, czy wszyscy jeszcze żyją — nie wie,
Może nie pozna pod śniegiem siwizny
Zmienionych twarzy. Nim został studentem,
Jechał, dziś wraca tym samym okrętem...

Te same deski, co go dzieckiem niosły,
Dziś odnosiły do domu człowiekiem.
Gdyby tak drzewom przypomnieć, że rosły,
Toby się sęki zasklepione wiekiem
Same otwarły, przez kory szczeliny
Niepowstrzymanych łez lejąc bursztyny.

Ale ten człowiek był, jako Ilissos
Pod Atenami, bez fal i bez wody;
I ten sam statek, ten sam Heptanissos,
Co go odnosił w rodzinne zagrody,
Dla niego prostą był tylko machiną,
Na której ludzie za pieniądze płyną.

Z jakiejże gliny byli ulepieni
Ci, co wracając na ziemię ojczystą,
Padali czołem na czoło kamieni,
Całując ziemię chwastami nieczystą,
Ziemię..... co nieraz, nim usta oddarli,
Na głazach ziemi całowanej marli!...

Ojczyzno moja! może wszyscy wrócą
Na twoje pola, ale ja nie wrócę!
Śmierć — lub to wszystko, co mi losy rzucą
Na kamienistej drodze życia — płuce
Ogniem pożarte, widziane oczyma
Sny straszne twarzą: wszystko mię zatrzyma!

Wszystko mię wstrzyma w obcej ziemi łonie
Umarłym, może jedną chwilę wcześniej
Niż zmartwychwstanie twoje, o Syonie,
Jerozolimo, trapiona boleśniej
Niż gród Chrystusa!... A gdy na twą grzędę,
Ojczyzno, inni powrócą — spać będę!

PIEŚŃ CZWARTA.

GRECYA.

I zaraz ku nam olbrzym Adamastor
Wyjechał z Zante, na barce Trytonów;
Na głowie swojej miał pomięty kastor,
Surdut na plecach, parę pantalonów.
Nie epopeję pisząc, nie idylią,
Powiem, że to był metr hotelu Giglio.

Stanął i zaczął trwożyć: O! nie płyńcie
Na greckie brzegi — w Patras kwarantana!
Lepiej do mego hotelu zawińcie,
Oberża moja podróżnikom znana!
W Patras musicie dni dziesięć i cztery
Przebyć kwarantan — od osp i cholery.

Chociaż poznałem, że to syn Adama,
Nie Adamastor stał przy nas na łodzi,
Zląkłem się bardziej, niż bohater Gama.
Lecz pomyślawszy, rzekłem: nic nie szkodzi —
Płynę do Patras, sam ujrzę w Patrasie,
Czy jaką szkodę poniosę na czasie.

A ty, co trwożysz, maleńki Cyklopie,
Zamiast nas pożreć zatrzymanych trwogą,
A może miłych jakiej Penelopie,
Prowadź nas w miasto — albo lotną nogą
Spiesząc przed nami, na stołach bez Harpii
Postaw nam zrazów, bifsteku i karpi.

Zamiast nas pożreć, my ciebie pożremy
Jeżeli obiad nie wystarczy głodnym.
Z taką odprawą oberżysta niemy
Odjechał. Ja zaś z czołem niepogodnem

Jako Eneasz modliłem się: „Panie,
Nie daj mi w greckiej siedzieć kwarantanie!“

A potem wszedłszy na fortecy góry
Spojrzałem: Zante szmaragdami siana,
W szczerych szafirów oprawna lazury,
Niebem i morzem dokoła oblana,
Taiła mnóstwo domków w głębi łona
Z domkiem poety, hrabi Solomona.

Szczęśliwy! zastał swój ogród i drzewa,
Swoję kanapę i okno na morze,
Swój miły stolik, gdzie pisze i ziewa,
Swoje gazami oskrzydlone łoże;
Może dziś będzie cieszył się lub szlochał,
Patrząc na domek, gdzie kocha, lub kochał...

Miło powrócić i usiąść na ławach
Przed własnym domkiem, gdzie ucichną gwary,
Gdy nocne świerszcze i koniki w trawach
Zaczną piosenkę nocy, a pies stary
Łapą drzwi chaty zawartej otworzy,
Przyjdzie i u nóg pana się położy;

I myśleć wtenczas. O fale! o fale!
Szumcie wy głucho pod okrętu łonem!
Patrzę na gwiazdy i cygaro palę
I nieraz wielkim rozpaczy pokłonem
Biję przed Bogiem, gdy z chmurnych obsłonic
Błyska... modlę się... lecz nic proszę o nic.

Miło być także na morzu ozłotnem
Błyskawicami i białym ognikiem;
Miło być także dumnym i samotnym,
I niedzielone mieć uczucia z nikim,
I nad powietrza ulatując ciszą,
Słuchać harf takich, jak ludzie nie słyszą.

Chrystus nas woła: wy, którzyście smutni,
Chodźcie na łono Ojca!... Patrz w błękity:

Oto gwiazd siedem — wszystkie w kształcie lutni —
Wychodzą z fali tam, gdzie zorzy świty
Mają zabłysnąć. Lutnio ogniem sina,
Na tobie dzwoni północna godzina,

Godzina cicha, tajemnicza, senna —
Na wielkiem morzu falą wahanemu;
Oto nad lutnią lśni gwiazda promienna —
Dowiąż gwiazd dziesięć ogniowi złotemu
Okiem i myślą, a z niebios wyleci
Koń, który parska gwiazdami i świeci.

Gdy go raz oko z błękitów wyczyta,
Już go nie straci i myślą nie zmaże.
Na strunach lutni położył kopyta;
W nozdrzach, jak w rumu zapalonej czarze,
Płomyk wytryska wielki, błękitnawy,
Czasem, jak w nozdrzach arabczyka krwawy.

Za temi gwiazdy wychodzi Dyanna,
Z gwiazd najświetniejsza, a najmilsza oku,
Gdy ją obleje światłem zorza ranna,
Kiedy w różanym topniejąc obłoku,
Z błękitnej razem staje się zielona
Ja listek, potem czerwieniąc się kona.

Lecz kiedy wyjdzie, nim zorza pobladła,
Zapowiadając prędkie cieniom końce:
Błyśnie ci w oczy jak kawał zwierciadła,
Z którego dziecko rzuci tobie słońce;
A gdy nad smutnym takie blaski roni,
Przywykasz razem do smutku i do niej.

Niebo na wschodzie okrywa purpura,
Potem ją skrawa zastępuje białość,
A róż odcięty, jako lekka chmura,
Płynie w błękity... O! klasyczna stałość!
Nieraz widziałem przez ten obłok cienki
Łono sypiącej różami jutrzenki.

I dzisiaj — pełna jasnego brylantu,
Rosy, róż pełna, wyleciała do mnie
Z błękitnej fali, z po nad gór Lepantu;
A za nią słońce rozlane ogromnie
Wyszło, jak zegar wieczystego czasu,
Nad błękitnemi górami Patrasu.

Takie olbrzymie twarze Nibelungi
W północnych pieśniach opisują. — Słońce!
Pierwszy twój promień padł na Missolungi,
Gniazdo, gdzie niegdyś wolności obrońce
Sto razy większym oparli się siłom,
Kapitulacyj nie biorąc mogiłom.

Jeżeliś widział rząd domków i fraszek
Poustawianych na dziecinnym stole,
Tak owo miasto. — Cóż to? biedny ptaszek
Leci przez morza lazurowe pole,
I pada przy mnie na ławie, a potem
Kania z ogromnym twardych piór łoskotem

Lecąc, o ławki stuknęła się drewno,
I długo w statku zabłąkana liny
Na morze wyszła z pieśnią płaczu gniewną.
A ja patrzyłem na serce ptaszyny,
Jak biło, jak się układały piórka
Do spokojności... była to przepiórka.

O Missolungi! czy pieśń moja zdąży
Za pieśnią wieszczów, co sławili ciebie?
O Missolungi — Jak ta kania krąży
Żelaznem skrzydłem po morzu i niebie!
Jak oczy iskrzą się nad dziobu hakiem...
— Ten biedny ptaszek jest pewnie Polakiem.

Lub niech cię kania zje — boś mi przerwała
Do Missolungi już zaczętą odę.
Ta sobie stoi maleńka i biała
Pod górą — patrząc na błękitną wodę,

Jako nad Styxem zebrane do kupy
Białe umarłych domków kościotrupy.

Stoi nad brzegiem, nie owiana liściem
Żadnego drzewa; lecz na nie upada
Z gór czatujących nad Lepantu wniściem
Ciemność i światło — a każda z gór blada
Mgłą błękitawą, a jedna z gór mroczna,
Jak piramida stoi sześcioboczna.

Tak równe ściany pokazują słońcu,
Tak równe boki ma cieniem pokryte,
Tak ciężka spodem, tak lekka na końcu,
Jako pod niebo ręką ludzką wzbite
Z cegieł pomniki... Nim się ten kraj wsławił,
Bóg wielki przeczuł i pomnik postawił.

Nieuwieńczona śniegoweni srebry,
Musi być u stóp śniegiem kości biała.
Gdybyś, Byronie, był nie umarł z febry,
Ale od bomby, kuli lub kindżała: —
Dałbym tej górze posępnej nazwisko
Grobu twojego — a Parnas tak blizko!

I mnie dziś łatwiej wleść na szczyt Parnasu,
Niż ludziom przebyć przed świętym aliansem
Rów wykopany. Trzeba na to czasu!
Na Parnas będą jeździć dyliżansem
Wieszcze Europy — a republikanie
Za lat dwadzieścia... kto wie, co się stanie?

Wierzę w respublik ojca jedynego
Robespiera (to *Trybuny* wina,
Że został Ojcem). Credo w Mochnackiego,
Rzeczpospolitej jedynaka syna,
Co wielkich marzeń nie przestając snować,
Przez Dyktatora dał się ukrzyżować.

Potem zaś wstąpił do arystokracyi
I trzy dni bawił; a po tej troszeczce

Przyszedł w obliczu przyszłej generacyi
Sądzić umarłych i żywych — w książeczce!
Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych
W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych.

I w obcowanie ich ducha z narodem,
I w odpuszczenie naszym wodzom grzesznym,
I w zmartwychwstanie sejmu pod Herodem
Obieranego: a gdyby mię śmiesznym
Nie okrzyczano, powiedziałbym grzeczny,
Że w tego sejmu wierzę żywot wieczny

Zrobiwszy taki sumienia examen,
Takie wyznanie, biedny wierszokleta,
Chciałbym dokończyć i dobić... lecz Amen
Uwięzło nagle, jak w gardle Makbeta.
Zacząłem pisać — teraz z wielką biedą
Bije się w głowę, jak zakończyć Credo?

Wierzę, ze idą ludy, jako chmura
Pełna błyskawic na trony zachwiane,
Wierzę, że nawet królewska purpura
Próchnieje w trumnach; wierzę w zatrzymane
Lawy żołnierza, tam gdzie stanął Kokles.
Wierzę, że Milcyad żył i Temistokles.

Wierzę, że jeszcze żyje dziś Kanaris,
Bo właśnie teraz wracam z jego domu,
Bo sam widziałem, jak błękitów Farys
Od ogniowego opalony gromu
W Patrasie grecką dowodzi flotylą,
Wierzę, bo sam go widziałem przed chwilą.

On, co żył niegdyś jako salamandra
W ogniu brulotów — dziś spokojny mieszka
W domku glinianym, jak domek Ewandra;
Dzikiemi chwasty zaplątana ścieżka
Do progów jego prowadzi — przed progiem
Odłam marmuru, co był kiedyś bogiem.

Belek się ledwo dotykały heble,
W ścianach obficiej powietrza niż gliny;
Sosnowe szczeble i niebieskie szczeble,
To jest deszczułki z sosen i szczeliny,
Wiodą na piętro — wejścia, pierwsza próba
Już była dla mnie, jako sen Jakóba.

Sen mi pokazał aż w Litwie niebieską
Niezabudkami rzeczułkę — przy zdroju
Miejsce kładkową przeskoczone deską,
Zawsze błękitne i zawsze w pokoju,
Dokoła w kalin ustrojone wianki,
Było kąpielą gwiazd innej kochanki.

Nie wiem, dlaczego — lecz nieraz w gorąco,
Gdy się na upał zaczynają skarżyć
Świerszcze piosenką po trawach syczącą,
Szedłem na kładkę — czytać albo marzyć,
I tak czytałem niegdyś walkę Greka
Jak dziecko, które czegoś chce i czeka.

Chce z głębi wody ślad srebrzysty dostać
(Rankiem kąpała się Ludka w tej wodzie),
Czeka, czy biała i powiewna postać
(Widać aleje i lipy w ogrodzie)
Może z pod wielkiej jarzębiny wstanie
I wyjdzie... Dziwnie uczące czytanie!

I czytam marząc, jako Ipsylanty
Zwyciężył — ginął... i dał Grecyi brata,
A kiedym czytał, to rosy brylanty
Strząsając, zefir po kwiatach przelata
I fale w złote pomarszczywszy prążki,
Przewraca karty welinowe książki...

Kartki rozwiane przycisnę kamykiem
I będę czytał. Oto wódz naczelny

Demetrius, licznym dowodzący szykiem,
A za nim... czarny hufiec nieśmiertelny;
Każdy z nich mocny, każdy bez nadziei...
Zkąd są? — powstali z mogił Cheronei...

Wszyscy — prócz wodza... ten nie zmartwychwstanie,
Zabity mieczem zgubionej stolicy!
Lecz innych dusze, jak w urnowym dzbanie
Chowane w piersiach marmurowej lwicy,
Która im była pomnikiem po śmierci,
Wyszły — i pomnik rozpadł się na ćwierci.

Pierś lwa rosnące roztrzaskały dusze!
I dzisiaj leży na samotnem polu,
Jak wielkim prochem rozsadzone kusze
A głowa pełna przedwiecznego bolu
Padła na ziemię — zda się, że spoczywa,
Wydaną duszą smutna i straszliwa.

Długo Grek patrzył na tę lwicy głowę,
Jak na zamilkłe nieszczęściami wróżki,
Snycerz dał smutną marmurowi mowę;
Patrząc — słyszałem dwa słowa Kościuszki:
Finis Poloniae, przechowane w głazie,
Jak łza w kamieniu — albo myśl w obrazie.

O Cheroneo! o Maciejowice!
Cyt... coś białego śród liści jaśnieje...
Ach nie! to tylko białe gołębice
Przez ogrodową leciały aleję...
Chodź znowu, książko, na kwiaty rzucona,
Będę znów czytał — to jeszcze nie ona.

Pieniędzy, krzyczą — Grek rzuca na szalę
Dyamentową oprawę pałasza.
Nie dosyć jeszcze — rzucił miecza stale,
Płaci żelazem... Już Ibrahim basza
Jak Nil, co wszystkie wody na świat wyda,
Lub jak waląca się z gór piramida,

Spada na Grecyę. — Gdzie są Termopile,
Po których niegdyś wąż Xerxesa przelazł?
Gdzie są ci ludzie, co żywota chwile
Licząc, nie drżeli — i marli?... Zavellas
W polach Klissowy z ośmiuset człowieka
Zastąpił drogę dwom baszom i czeka.

Słyszę, jak serce w moich piersiach bije;
Zda się, że patrząc w trup Leonidasa,
Patrząc głęboko — czekam aż ożyje: —
A wtenczas ani jasnych kwiatów krasa,
Ani lecący aleją gołąbek
Nie obłąkały mych oczu, na ząbek.

Lecz wtem nadzieja odbiegła mnie wszystka
Zerwałem różę, co tam kwitła świeża,
I przywiązawszy do każdego listka
Myśl i życzenie i życie rycerza
I Zavellasa... o szaleństwo młode!
Wszystkie te listki rzucałem na wodę,

I jeszcze listków zostało mi trocha;
Myśląc, że siane w ziemi nie zakwitną,
Więc jeszcze jeden listek — czy mnie kocha?
Posłałem falą wędrować błękitną;
I nie wiem, jaki los tamte pochłonął,
Ale ostatni — pamiętam — utonął...

I znowu książkę rozłożyłem białą
I zimne karty zacząłem całować,
Wołając: Greki, niechaj giną z chwałą!
Wy mnie nauczcie, jak wrogów mordować,
Jak rzucić drogę marzeń księżycową
Z umarłem sercem i z twarzą surową...

I marząc o krwi z uczuciem tygrysa,
Stężałem członki, krew czując na licu...
Słyszycie tentent?... to koń Botzarisa
W obóz turecki leci po księżycu;

A nim się straże obudzone zwarły,
Botzaris w baszy namiot wpadł — umarły...*)
I odezwały się w górach klasztory;
A nie były to pogrzebowe dzwony
Które kupuje na śmierć człowiek chory;
Lecz jakieś wielkie pomieszane tony
Płaczu, rozpaczy — wyjące po skałach.
I większej zemsty głos—zamknięty w działach.

A wielkie morze, lazurowe morze
Któremu niegdyś poświęcano w Aulis
Córy królewskie... ciebie teraz porze
Między flotami tureckiemi Miaulis;
Z nim jest drewniana ateńska forteca,
Którą Kanaris brulotem oświeca.

Obydwa płyną uwieńczeni w laury
Wydarte morzu — prędkim idą lotem;
A ów Kanaris zda się, jak centaury,
Na pół człowiekiem, a na pół brulotem
Ten człowiek śmiały i pan dwóch żywiołów,
Któremi niszczy — czy ma twarz aniołów?

Czy pod nim, jako pod niebieskim duchem,
Cicha się łódka nastąpiona nie gnie?
Czy jego wiosło niesłyszane uchem?
Czy ogień za nim jak pies wierny biegnie?
Jak on wyglądał, gdy błękitne morze
Pięć jego czółen oblało w Bosforze?

Sułtan go widzi, lecz zniszczyć niezdolny!
Nie zgasi nawet płomyka w stambułce

*) Botzaris, jeden z najdzielniejszych przywódców powstania w Grecyi (1820 r.). Osaczony w Missolungi, które się poddać musiało, powziął myśl ocalenia miasta przez wycieczkę. W 200 ludzi napadł w nocy na obóz turecki i wielką w nim rzeź sprawił, ale padł od kuli. Do tego czynu robi tu poeta alluzyę. (P. W.).

Wodza greckiego... Oto konik polny
Usiadł przedemną na cichej rzeczułce,
I suszy skrzydeł przezroczystych szkielka
Błyszczące w słońcu, by tęczy perełka.

I suchą nogą, na źdźble żółtej słomy,
Dziecko powietrza, wędruje na łódce
Przez zwierciadlane rzeczułki załomy,
I port w rozchwianej znajdzie niezabudce,
Albo popłynie dalej z nurtem wody
Pod brzóz płaczących nachylona chłody.

A kiedy płynął i srebrzystym rysem
Znaczył rzeczułki fale zwierciadlane,
Myśl moja cała z wielkim Kanarisem
Płynęła za nim w kraje malowane
Piękną przyszłością... i widziałem życie
Z twarzą na słońcu — z oczyma w błękicie.

O przyszłość, przyszłość! — Jam się tak do ciebie
Uśmiechał dzieckiem: — ty z taką światłością
Dni moje siałaś, jak gwiazdy na niebie!
A moje smutne dzisiaj... jest przyszłością;
Kwiat spodziewany na wątłej łodydze
Życia mojego — rozwinął się... widzę —

Co? jeszcze w myślach owa przeszła chwila,
Jeszcze marzone dawniej Greków twarze
Jeszcze Kanaris na słomie motyla.
Jeszcze nad księgą leżę, jeszcze marzę...
I chciałbym cały włosem się osłonić
Nad dawną księgą — i dawne łzy ronić;

I być zbudzonym, jak dawniej nad rzeką,
Gdy na aleje złote słońce spadło;
Kiedy słyszany jakiś głos daleko
Wołał, jak echo, gdy w rzeki zwierciadło
Patrząc — patrzyłem na twój wzrok uroc
Nie śmiejąc prosto patrzeć... w twoje oczy

PIEŚŃ PIĄTA.

PODRÓŻ KONNA.

Czytałem kiedyś wielkie porównanie...
Jak wystawiony na niebieskie rosy
Pielgrzym, gdy ze snu głębokiego wstanie,
Listek uwiędły, co mu spadł na włosy,
Odrzuca z czoła: — takoś ty skaliste
Nakrycie grobu precz odrzucił, Chryste!

Lecz kiedy przyjdzie zmartwychwstanie ludu,
Kiedy się skończy sen pełny omamień:
Jakiegoż trzeba będzie wtenczas trudu,
Aby odwalić ten grobowy kamień?...
Ów marmur pełny naszych cierpień rytych,
Na którym modlą się dzieci — zabitych?

Patrząc na oczy pełne błyskawicy,
Na czoło króla promieni brązowe,
Pytałem znanej mu już tajemnicy,
Bo sam odwalał kamienie grobowe
Z grobu uśpionej głęboko ojczyzny;
Musi znać leki — bo zna wszystkie blizny.

Pytałem Greka—ale w nim już nie ta
Z kradzionym ogniem pierś Prometeusza!
Moje pytanie było, jak Hamleta
Metafizyczne słowo — czy śni dusza?
Kładzione zawsze na grobach od wieka,
Nierozwiązane dotąd przez człowieka.

Chciałem mu nadać wielkość Waszyngtona,
Mojem pytaniem na zbawcę pasować;
Bo też mu złotych brakło milijona,
A mógłby spalić Stambuł, zamordować

Tylu wezyrów, tyle krwi wytoczyć,
Że Sułtan miałby gdzie pióro umoczyć,

I czem podpisać na wolność firmany,
I Kanarisa odesłać z krainą
Temistoklesa przez drewniane ściany
Zdobytą. Dzisiaj Rigny — Navarino *)
Kanarisowi wykradły jak Paris
Helenę sławy. — Czy cierpi Kanaris?

Nie wiem... Czy orzeł kiedy myśli o tem,
Że kiedy w zimie słońce zda się nizko,
Mógł o południu natężonym lotem
Dolecieć — patrząc oczyma w ognisko
Niebieskich krain? — myśl głupia dla ludzi,
Lecz może dręczyć orła, co się nudzi...

Ale powtarzam, myśl głupia dla świata
Mogła się przyśnić orłowi na skale,
Lub temu z ludzi, co jak orzeł lata...
Dosyć! — cygaro hawańskie zapalę
Temi strofami, które nie są odą
I do niczego mądrego nie wiodą.

I właśnie takie ciężkie i nietrafne
Z ust wychodziły moich parabole,
Kiedy żądałem, by słowa jak Dafne
W laur przemienione kładły się na czole
Zapomnianego przez ludzi Greczyna;
Lecz że świat taki, to nie moja wina.

Możebym także chciał (to wszystko mary),
By jaki człowiek, spotkawszy w ulicy

*) Rigny dowodził eskadrą francuską w bitwie pod Nawarynem d. 20 paźdz. 1827, w której połączone floty Anglii, Rosyi i Francyi zniszczyły flotę turecko-egipską i tym sposobem przyczyniły się do zupełnego oswobodzenia Grecyi. (P. W.)

Moją figurę... włoży okulary...
Po dyabła nosić sławę w tajemnicy?
Cieszył się Dante, gdy przekupka rzekła:
Patrzcie! ten człowiek dziś powrócił z piekła.

Ja bardzo lubię sławę popularną,
Lękam się bardzo wymuskanej sławy;
Dlatego każę na bibułę czarną
Bić nowe dzieło — gołe, bez oprawy;
I wyjdzie na świat książeczka pokorna,
Jak gdyby z pod pras Bogumiła Korna. *)

O moja głupia muzo, zapominasz
Uszanowania winnego księgarzom!
Ja nie znam Korna — mówią, że luminarz...
A zaś skład jego podobny cmentarzom,
Gdzie sobie cicho autorowie leżą,
Co lato ziemią przysypani świeżą.

A czasem zajrzy Bogumił na cmentarz,
Patrząc, czy kiedy nie zjadł się w letargu
Jaki kalendarz albo clementarz:
A kogo kocha — tego na świat targu
Drukiem prowadzi... i stawia za kratą,
Wieńcząc go świeżą, laurową erratą.

O mój księgarzu wrocławski, o Kornie,
Dokończ tej strofy!... dalibóg zaczęta
I pindarycznie, żywo i wytwornie;
Lecz moje pióro nigdy nie pamięta
O drugim wierszu... wbrew dawnej przestrodze:
Nim pierwszą stawisz, myśl o drugiej nodze.

Tak chciał Feliński: wiersz skomponuj drugi,
A potem pierwszy dosztukuj zgrabnie;
A będą mocne — i łańcuch się długi
Nie przerwie nigdzie, nigdzie nie osłabnie;

*) Głośny czasu swego księgarz i wydawca wrocławski (P.W.)

Na takim niańki uwiązani pasie
Chodzą dawniejsi wieszcze po Parnasie.

Lecz ja... Dobranoc!... Jutro zorza złota
Ujrzy mię w siodle i na Rossynancie,
Tam, gdzie Cerwantes, autor Donkiszota,
Utracił rękę — mój obraz w Lepancie
Będzie odbijał się tak lazurowie,
Jak cień Quichota w Cerwantesa głowie.

Naprzód malować trzeba kawalkadę,
Która się brzegiem Lepantu pomyka.
Guid jedzie przodem, a ja za nim jadę...
Lecz wam opiszę pierwej przewodnika,
Który albańskie rozwiawszy wyloty,
Jechał na koniu, gdyby motyl złoty.

Na kapeluszu słomianym miał mycę,
Do roziskrzonych podobną płomyków;
Ze sztuki płótna marszczoną spódnicę;
Gadał mozajką dziesięciu języków;
Śmiał się jak dziecko, a dzieckiem był prawie,
Śpiewał — jak polny konik śpiewa w trawie.

Twarz jego młodą gdzieś widziałeś we śnie.
Może na jakim widziałeś rysunku,
Gdzie młody Greczyn, wysłany zawcześnie
Z ojcowskiej chaty w wojennym rynsztunku,
Patrzy na Turków oczyma tygrysa...
Na litografii zgonu Botzarisa.

Są twarze w ludach powszechne, *c'est tout clair* —
Tłómaczyć przyczyn byłoby to wstydem;
Wreszcie opisze go wam książę Pükler —
Muskau — co z naszym podróżował guidem
I pokazywał swą karykaturę
Grekom, wylazłszy nad Parnasu górę;

Który się nie kładł spać aż biła czwarta;
Który chciał ogród założyć niemiecki

W guście angielskim tam, gdzie była Sparta,
Dla Bawarczyków pozawieszać niecki,
By się hojdając, z krainy Likurga
Mogli przenosić myślą — do Strasburga;

Który — to zawsze mówię o tym księciu —
Niechaj pamięta autor o autorze —
Który zasnąwszy wieczór w przedsięwzięciu,
Zbudzony — spytał się: w jakim kolorze?
A rząd bawarski, myśląc o sadzonym
W Sparcie ogrodzie — powiedział: w zielonym...

Który się na to obraził... i chwilę
Zastanowiwszy się — po kilku chwilkach
Tak zadrżał gniewem, że wszystkie motyle
Na kapeluszu siedzące na szpilkach,
Zaczęły spadać i kłuć w nos Ottona.
O zemsto... mówią, żeś słodka — ty słona!

Zwłaszcza, gdy ciebie Pükler w sól attycką
Całą osypie... i da na zabawkę
Figurę wroga — pod Momusa mycką,
Osolonego solą — jak pijawkę —
Tak się zapewne kręcić i wić będzie
W dziele... pan Otton... na króla urzędzie.

Lecz kłaniaj za to ogrodowi w Sparcie;
Ziemia gruzami pozostanie skalna...
Sparta zostanie na światowej karcie
Spartą... historya straci naturalna
Na jakim kwiatku, co ma kształt pantofli,
Lub na rodzaju spartańskich kartofli.

Adieu, Püklerze, bo mi nie do uszu
Twe imię, w rymów sadzone ogrodzie;
Podróżuj w twoim wielkim kapeluszu,
Co tak wygląda, jak żagiel na wodzie,
W górach jak tarcza okrągła Pelida,
Nad ruinami bogów... jak egida...

Bądź zdrów! — a jednak miałbym prośbę małą
Do waszej mości książęco-autorskiej,
Ażebyś także moje grzeszne ciało
Na koniu skreślił — na szkapie cecorskiej...
Tak musiał niegdyś Żółkiewski ponury
W trzy dni po zgonie straszyć grzeszne ciury...

Trudno znać siebie, powiada przysłowie;
A ja powiadam: trudniej widzieć siebie
Przez te szkła biedne, które w naszej głowie
Oprawił Stwórca — kryjąc się na niebie
Tak, że choć błękit przenikniecie do dna,
Skryta wam jedna rzecz — widzenia godna...

A druga także rzecz bardzo ciekawa
Dla nas—my sami... także nam ukryta;
Szczęściem, że wierne zwierciadło — i sława
Często niewierna — wszak wiecie, kobieta —
Dopomagają nam szkłem i umysłem
Patrzeć na siebie i są szóstym zmysłem.

Dlatego bardzo i gorąco żądam
Widzieć się kiedy w gazet artykule
Takim, jak jestem — albo jak wyglądam...
Tymczasem muszę całą ziemską kulę
Przebiegać sobie samemu nieznany
Z twarzy i z głowy niewymalowany.

Szczęśliwy Józef Poniatowski (czyli
Szczęśliwy, gdyby nie umarł), że widzi
Siebie samego w najciekawszej chwili
Na każdej ścianie. A niech nikt nie szydzi
Z tej strofy, bo ją skończy myśl Solona:
„Nie mów, że człowiek szczęśliwy — aż skona."

Zaprawdę, ja wam powiadam, co rzekły
Przedemną usta filozofów wielu,
Że... lecz nadzwyczaj staję się rozwlekły;
Więc nic nie powiem — i prosto do celu

Nie zatrzymany strofą, ni morałem
Na moim koniu biednym pędzę cwałem.

Hop! hop... jak upiór... obracam tak nogi
Że, kwadratowe tureckie strzemiona
Kolą w bok konia jakoby ostrogi;
A moja szkapa z wiatrami puszczona
Pędzi, jak gdyby czuła żłób koniczyn;
Lecz wtem zwolniłem kroku... dla trzech przyczyn.

Primo: towarzysz mój (a tu mi skłonno
Aż do łez, pomnąc na konia strukturę),
Był jako człowiek, który idzie konno;
A kiedy biedne zwierzę szło pod górę,
I chociaż mogło iść o własnej mocy,
Jeździec udzielał mu swych nóg pomocy.

I tak się razem nieśli. O widoku
Rozczulający! łez nie pojmie profan,
A jako niegdyś w błękitnym obłoku
Sokrata skreślił błazen Arystofan
Latającego po niebieskim sklepie
Na żółwia nogach, w szyldkretu czerepie:

Tak ja po greckich w gimnazyum naukach
Mógłbym podobną ubawić was sceną,
Wymalowawszy na głębokich jukach
Ukochanego filozofa Zeno...
Który w tej chwili przez niemożność skoku
Był pierwszą z przyczyn, że zwolniłem kroku.

Druga z tych przyczyn była także cnotą
Filantropiczną: właściciele koni
Za kochanymi końmi szli piechotą;
Jeden jak Turek miał turban na skroni,
Drugi, jak ojciec podobny do syna,
Belwederskiego miał twarz Apollina.

Trzecią z tych przyczyn, dla których wstrzymana
Wietrzność mojego była wiatronoga:

Oto, że nagle ja i karawana
Przyszliśmy, gdzie się zakończyła droga
Przeszkodą — wprawdzie dla Mojżesza małą:
Z tej strony morzem — a z tej strony skałą — —

Więc wszystkich świętych wezwawszy i biesa
Rzucam się w morze... czy w cuda wierzycie?
Z fali strącona ręka Cerwantesa,
Jak cień wielkiego nosa na suficie
Wyszła figowe pokazując godła
Światu — a mnie zaś przez fale przewiodła.

I opryskani falą o brzeg bitą,
Na popas w małym stanęliśmy khanie;
Tam z głową senną, cieniem drzew nakrytą,
Inni spoczęli przy chruścianej ścianie,
A ja nie spity napojami maku,
Znalazłem grotę w rododendrów krzaku.

Na samej wstążce srebrzystego żwiru,
Co się nad morzem pod krzakami winął,
Jak sztuczna biała oprawa szafiru,
Spocząłem... i wzrok na błękicie zginął
I myśl smutniejsza przyszła mię kołysać,
Niż myśli, które chcę i mogę pisać.

Smutna! Myślicie, że grzechów siedmioro
Przyszło mię dręczyć — lub łza emigranta?
Nie! — Ach, myślałem, że już madreporą
Stało się ramię biednego Cerwanta,
Ramię, nieszczęsne, które zaczynało
Czuć, że się jakiś duch oblekał w ciało...

I urodzony w Cerwantesa głowie,
Będzie radością wstrząsał wszystkie nerwy;
Ramię co było w romansu połowie,
Potem doznało takiej wielkiej przerwy,
Jak kiedy zabrzmi trąb dziesięć tysięcy,
Potem milczenie... nic nie słychać więcej.

Dziwnie utracić jaki ciała członek
I myśleć potem, że już leży trupem,
Że już w nim żadna z kosteczek, ni z błonek
Nie myśli o nas... i stała się łupem
Robaków — a zaś dusza pełna sromu
Do ciaśniejszego przeniosła się domu.

Dziwnie być musi płakać nad cząsteczką
Własnej mogiły i czyśca męczarnie
Od niej odwracać... bo jeszcze jest sprzeczką,
Czy dusza za nas płaci solidarnie;
Czy członek, co się na ciała pogrzebie
Nie znajdzie, w piekle zapłaci za siebie...

A tu-bym bardzo mądrze i głęboko
Dowiódł, że kiedy nasz Zbawiciel kazał
Wyłamać rękę, lub wyłupić oko...
Więc trzeba, abym tę strofę przemazał,
Bo jej dokończyć, jak chcecie, nie mogę,
Bo osiodłany koń... i ruszam w drogę.

PIEŚŃ SZÓSTA.
NOCLEG W VOSTIZY.

Dalej, mój koniu, powoli—dość czasu.
Krajograficznie strofami wyłożę,
Jaka mię droga prowadzi z Patrasu.
Po prawej stronie góry — z lewej morze.
Za morzem znowu i skały i góry,
Nad niemi niebo błękitne bez chmury.

Nie ma tu ziemia czego złożyć w stercie;
Koń dzwoni w głazy — depce chwast — dziewanny;
Czasem po drodze w rozłożystym mircie
Widać rudery tureckiej fontanny,

Gdzie w kamień woda płacząca nie tętni,
Na które patrząc, nawet Grecy smętni.

Taka głęboka przy fontannach cisza,
Tak ciemne mirty i tak liściem szumią
Nad fontannami, jak pacierz derwisza,
Cały ten smutek błękitami tłumią
Wody Lepantu i z czystego nieba
Patrzące czoło (jestem w Grecyi) Feba.

Ani po drogach bawiącej się dziatwy,
Ani człowieka w polu, ni na drodze;
Czasem szumiącym lotem kuropatwy
Porwą się w stado, tuż przy konia nodze,
I padną blizko — i znów cisza wielka...
Jaskółek żadna nie wyśle ci beika.

Niebo tych czarnych gwiazdek pozbawione —
Wdzięcznie błękitne... zda się, że nad smętnym
Krajem przeszłości leży zamyślone,
Jakim obrazem dawnym i pamiętnym
Tylko samemu Bogu, co w niem duma.
Kraj ten zniszczyła tak wolności dżuma...

Ząbek się lasu dopiero wyrzyna;
Małe sosenki, jako pszczoły, brzęczą
Jedwabnym kolcem... Jeżeli masz syna,
A twego kraju ludzie nie zamęczą,
Może zobaczy Grecyę pełną krasy,
Ubraną w ludzi szczęśliwych — i w lasy.

Ale my dzieci nieszczęścia stąpamy
Po głazach, chwastach i ruinach głuchych
My się przez wielkie pustynie wołamy
W ciszy bezludnej; my przy źródłach suchych
Szukamy wody spaleni zarzewiem.
Gdzie będą szukać naszych mogił? — Nie wiem.

Gdy tak myślałem, mrok osłonił mary
Przybywających wreszcie do Vostizy.

Tu jeszcze pomnik turecki... dąb stary
Na podniesieniu z głazów przy ulicy,
Siedział spokojny. O tej-to godzinie
Turek tu niegdyś pił dymy w bursztynie.

Lubiłem lipę, co nad sławnym Janem
Cień rozstrzelony zbierała pod siebie
I co rok miodu obdarzała dzbanem
Niewymyślnego w żądzach i w potrzebie,
Co była drugiem poety mieszkaniem,
Głośna słowików — szpaków narzekaniem;

Pod którą nieraz błyszczał dzban na stole
Co tak wysoko niosła czoła wianki,
Jakby ze dworu wyglądała w pole
Na przyjazd pana lub pańskiej kochanki;
Co nad szmerami słodkich ust dziewicy
Szumiała cicho, pełna tajemnicy.

Ta lipa dla nas, jak Partenon grecki,
Ma pełno smutku niewymówionego,
Stanąłem, patrząc na ów dąb turecki;
Smucił mię także — lecz nie wiem dlaczego;
Bezużyteczny liściami i chłodem,
Oko zadziwia wielkim pnia obwodem.

Pień jego w sobie ma siły potęgę
I wielki smutek starości... i żałość
Nad tymi, co go znali... stone-henge
Zaniesie myśli w olbrzymią zuchwałość
Tytanów dawnych... W tej świątyni progu
Myślisz o człeku, co ją siał... i Bogu.

O mój turecki dębie, dębie stary!
Ty mi cudownym wyrosłeś kościołem:
Tutaj się mogą modlić wszystkie wiary,
Tu wszyscy ludzie bić ugiętem czołem.
Lubię cię, dębie wyniosłego czoła,
Z liściem rozwianym, jak skrzydło anioła,

Szczęśliwi ludzie, których anioł dzierży
W swojej opiece! szczęśliwe te kraje,
Co mają drzewa — na miejscu oberży —
Siane po łąkach, gdzie płaczą ruczaje;
Wędrowiec staje, gdzie kwiatów najwięcej...
Nagle krzyknąłem — do krocset tysięcy

Milionów!... tu mi kochany Eurypid
Słowo Eumenid dał do wykrzyknika;
A mój towarzysz rzekł: *mais c'est insipide*
Spać tu... w tej klatce... co ma kształt kurnika;
Comment, Giuliano? — tak się zwał nasz sługa —
W Vostizy musi być oberża druga!

Non c'e, rzekł sługa. Więc spać tu—na ziemi?
Wszak to nie ściany, lecz z łuczywa krata,
Pajęczynami wybita czarnemi —
A ja dodałem: jak horyzont świata
Zawarty zewsząd, bez okien, którędy
Dusza-by mogła wyjść za zmysłów błędy...

I zakończyłem słowami: daj świecy!
— Świecy? rzekł kompan — wszak tu wiatr zagasi
Słońce w lichtarzu, księżyc w szabaśnicy!
Rzekłem: Giuliano, hej! *tho se mu krassi...*
Gorzkie jak piołun — niech Bóg będzie z nami!
Jest co jeść? nie ma? więc *tho se mu psami!*

To się po grecku znaczy: daj mi chleba!
Przyniósł... postawił... i znowu zapytał
Bardzo układnie: czego panom trzeba?
A gdym na chlebie zębami pozgrzytał,
Zdjęty przeczuciem nieszczęśliwych wróżek,
Nie spodziewając się, wołałem łóżek!

I światła! Tu jest jako na biegunie
Północnym ciemno—i wiatr wszędy świszcze;

Pusto jak w zgniłym orzechu świstunie...
Tu mój towarzysz rzekł: więc ja przepiszczę
Na hebanowym moim flażolecie,
Tę noc — przepędzę ją najlepiej w świecie.

I już wyciągał wiatro-brzmiący bardon;
Lecz ledwie zaczął, dmuchnąwszy w otwor
Przegrywać, jakiś głos: *I beg yon pardon* *)
But I don't like the music, I am sorry"
Z prawej się strony wydobył przez kratki —
Anglik zamknięty był do drugiej klatki.

I była Babel okropna języków,
Aż wreszcie jakaś Opatrzności ręka
Zesłała parę płonących knocików,
I dwa, napięte jak struny, krosienka;
To były łóżka... jeśli kto nie wierzy,
Tłómaczę jaśniej — to, na czem się leży.

Ach! leży tylko! — bo wszystkie zefiry
Zbiegły się do nas i wiatr z nami pląsał;
A dar krosienek, jako Dejaniry
Koszula — gdzie się go dotkniesz, tam kąsał.
Ach, jam się dotknął — i ogień mię złapał
I byłem w piekle — mój towarzysz chrapał.

Są chwile w życiu, w których człowiek zda się
Samemu sobie bardzo poetycznym:
Na skały igle — na ruin terasie —
W usposobieniu umysłu Vehmicznem,
Kiedy głos przeczuć bardzo głośno gada
Trzykrotnym głosem: biada! biada! biada!

Gdy patrzy w słońce, o zachodzie krwawsze,
Kiedy się żegna z kim, i przy miesiącu

*) Bardzo przepraszam, lecz nie lubię muzyki, bardzo mi przy-
ro. (P. W.)

Mówi z westchnieniem głębokiem: na zawsze!
Gdy przy dognanym zeskoczy zającu,
Dobędzie noża i obcina skoki —
Gdy nań piorunem strzelają obłoki;

W chwili, gdy skończy szkoły i nauki,
Gdy go za rękę uściśnie sam rektor;
Gdy go mianują sędzią — gdy go wnuki
Obsiądą — gdy kraj obroni, jak Hektor,
Albo gdy myśli o zbawieniu Lachów —
Gdy wygra partyę bilardu lub szachów;

Albo gdy idzie sam w nocy na cmentarz
I na kochanki usiądzie mogile;
Albo gdy mówi doń kto: czy pamiętasz
Paryż? — Są różne poetyczne chwile:
Kiedy naprzykład w towarzystwie znanem
Siądziesz pośrodku... na cenzurowanem —

Albo gdy ciebie nazwą obskurantem,
To jest, że możesz zgasić oświecenie;
Albo gdy jesteś dział asekurantem
I w Napoleońskie wierząc przeznaczenie,
Słuchasz bez drżenia kul lecących świstu;
Gdy „Comte" przeczytasz na kopercie listu —

Gdy... i tam dalej. Z tych miłości własnych
Żadna nie przyszła do snu mię kołysać;
Przy dwóch światełkach, jak gwiazdy niejasnych,
Chciałem z krosienek moich wstać i pisać,
Czekając zorzy różowego świtu,
Wtem deszcz... w tej klatce nie było sufitu...

I zawołałem: ty śpisz, Eneaszu,
A tu deszcz na nas leje się z dachówek!
Wnet rozbudzeni oba na poddaszu,
Więcej do czynu sposobni niż słówek,
Wściekać się więcej zdolni, niż łzy ronić,
Przemyślaliśmy, jak i gdzie się schronić.

Szczęściem, że w ścianie uwitej z sośniny
Po obu stronach były dwie framugi;
Ach nie framugi — zaczęte kominy!
Więc ja jak krótki — mój kompan jak długi,
Oba jak dłutem z marmuru wycięci
W niszach przeciwnych — ktoby rzekł, że święci.

Przy naszych nogach zapalone lampy,
Ręce złożone na piersiach pobożnie;
Każdy z nas biały, jak w operze Zampy
Wiedźma z marmuru — bardzo nieostrożnie
Pierścionkiem złotym za żonę pojęta;
Lub jak niewiasta Lotowa w sól ścięta;

Lub jak mumija w ścianie piramidy...
Niech porównania dalej lecą kłusem.
Byliśmy, jako ów posąg Tetydy
Zakryty wody srebrzystej obrusem,
Stojący sucho w wodnej samołówce,
Który czytelnik ujrzy w Zofijówce.

Tu, wychyliwszy głowę, mój towarzysz
Głosem żałosnym rzekł: czy żyjesz? — Żyję.
A on mi znowu rzekł: o czem ty marzysz?
A ja mu rzekłem: że się nie ukryje
Żadna zasługa pod żadną przeszkodą;
Ja mówię pacierz... Bóg słyszy pod wodą.

Cnota skarb wielki, cnota klejnot drogi,
Nie spali ogień... a kompan: Nie słyszę;
Woda tak szumi, już mokre mam nogi...
A ja mu na to: Cierp, a ja opiszę
Nasze cierpienia ściągnięte bez winy
I przedam wiernie córkom Mnemozyny —

I kiedyś, w późne wieki, wstanie mściciel
I tu postawi hotel, mości panie!
Tu, na tem miejscu, gdzie teraz Jan Chrzciciel
Mógłby duszeczki kąpać, jak w Jordanie;

Tu, gdzie stoimy — ja ci przepowiadam —
Że stanie hotel — tu, gdzie w nurty padam,

W nurty natchnienia, myśląc o żegludze
Dawnych rycerzy — Eneja — Ulissa...
A mój towarzysz rzekł mi: Ja się nudzę,
Stojąc w tej niszy jak kozacka spisa;
Wyznaj, że Grecya *c'est ennuyeux en diable,*
Ja cały mokry — *mais c'est insupportable!*

Nie masz zegarka? ja mój do kompasu
Zregulowałem, tam na łóżku leży;
A ja mu na to: mamy dosyć czasu!
Nim Febus we drzwi Aurory uderzy,
Gadajmy sobie o czem pożytecznem:
Lub o zbawieniu... lub o ogniu wiecznym...

Albo śpiewajmy sobie kontredansy
Tańczone dawniej — ja dyszkantem wlekę;
Albo ci powiem powieść Sancho Pansy
O trzystu owcach wiezionych przez rzekę —
Ty licz, ja będę tron mówcy dziedziczył;
Jeśli chcesz, ty mów... a ja będę liczył.

Czy znasz Byrona? — Nie! — To wielka szkoda!
Mógłbyś się teraz przenieść w ideały;
Czajld Harold niegdyś był w Grecyi... Ta woda
Łóżka nam porwie srebrzystymi wały.
Czy znasz Platona?... przyszło mi do głowy
Zaczęcie jednej Sokrata rozmowy:

„Chodźmy — rzekł — w klonu szerokiego cieniu
Na pochylonej odpocząć murawie;
Oto zanurzmy tu stopy w strumieniu; —
Jak tu cień miły, jak tu świerszcze w trawie
Śpiewają słońcu!...“ Dalej w mowie walnej
Sokrat piękności daje idealnej

Rysy, granice — i w mgliste przezrocze
Obwija posąg cudownego wdzięku,

A strumień żywy stopy mu łaskocze...
Tu nasz Giuliano z latareńką w ręku
Wszedł i zobaczył nasze dwie figury,
Jak dwa posągi, oprawione w mury,

Z lampami w nogach. — Rzekłem: Pigmalionie...
Jeśli z posągów chcesz mieć żywych ludzi,
Przynieś parasol! — Tak przez wodne tonie
Przeszliśmy oba — a jeśli was nudzi
Ta pieśń, pomyślcie, że to jest obrazem
Greckich oberży, łóżek... i nas razem.

PIEŚŃ SIÓDMA.

MEGASPILEON KLASZTOR.

Wiem, że ze śmiechu przeskakiwać w smutek
Jest wielkim błędem... charakteru wina,
A raczej nerwów rozkiełznanych skutek —
Brak sentymentu — że w trop Lamartina
Idąc, nie łączę w pieniach — o herezya! —
Trzech westchnień ciągłych: Miłość — Bóg — Poezya!

Miłość od Boga staje się odporem,
Spytaj się o to panny... (Choło)niewskiej
Co rządzi młodych panienek klasztorem.
Miłość — (prócz czystej miłości niebieskiej) —
Wprowadza duszę w jakiś grzeszny zamęt —
Nie wolno kochać, jak Święty Sakrament.

Lecz pierwsza miłość — pierwsza, platoniczna...
O wstaw się za mną — o Najświętsza Panno!
Ty jesteś taka na obrazach śliczna —
Widziałem Ciebie dziś — pod tęczą ranną,

Nad błękitami Lepantu — w niebiosach —
W tęczy — na chmury rozpłakanej włosach...

Poezya także często walczy z Bogiem,
Chybabyś pisał ciągle o myśliwstwie,
Jak *Pan Tadcusz* obeznany z rogiem. —
Bóg Lamartina jest w złem towarzystwie!
Chrystusa trzeba dać do takich kmotrów,
Byłby znów Chrystus między dwojgiem łotrów.

Więc rozwiązawszy tak dobrze zawiłość
Teologiczną, przyjmuję za godło
Tych kart — Poezyę, Chrystusa i Miłość —
I to mię będzie teraz ciągle wiodło
Z góry na górę — od boru do boru —
Do Megaspilion, na tę noc, klasztoru.

A ty, Poezyo, nie bądź więcej mniszką,
Ale opowiedz, jak szedłem wysoko
Nad przepaściami zawieszoną ścieżką;
Jak coraz dalej posyłałem oko
Za laurem pięknie kwitnącym podemną,
I za otchłanią mórz — błękitnie ciemną;

Jak o południu cień kolczatej gruszy
Osłonił całą podróżnych gromadę;
Jak ciernia krzaki, które wiatr wysuszy,
Dały nam ognie w oczach słońca blade;
Jak źródło w naszym zajęczało dzbanie,
Jakeśmy orłów słyszeli krakanie...

A może jasnym wabiące lazurem
Daleko od nas — szukane oczyma —
Za gór przebytych błysnęło się murem
Przez dwie szczeliny maczugą olbrzyma
Albo Rolanda rozcięte zamachem.
Powietrze ząbrów poiło zapachem...

A teraz myślę, jak z liter i cyfer
Ułożyć oczom klasztor Megaspilion,
Klasztor, gdzie niegdyś bronił się Lucyfer
Mahometowi — tak długo, jak Ilion,
Albo jak nasza piękna Częstochowa,
Kulami ryta — cudem boskim zdrowa...

Zjeżdżaj na koniu w dolinę głęboką,
Góra zielona... wjeżdżaj na tę górę
Ślimaczą drogą... teraz podnieś oko!
Gdzie patrzysz? wyżej!... tam, tam aż pod chmurę!
O jaki widok!... skała rośnie złota
Z arabeskowym rysunkiem Callota *)

Z łona zielonych krzewin i cyprysów
Wyrasta ścianą prostopadłą skała
Porysowana, jak mnóstwem napisów
Mnóstwami domków — a jaskółka śmiała
Ów miły zwiastun wieśniaczy i boży
Tak nie przylepi gniazd i nie ułoży.

Cała budowa, jako wachlarz płaska,
Jeden ma tylko bok i jedno lice;
A wytnij sobie z jakiego obrazka
Całą niemieckich miasteczek ulicę,
Niechaj mur jeden jednostajnie siny
Nosi te domki — krużganki — kominy.

I galeryjki — i sine okienka —
I domki wczora tynkowane świeżo,
Niechaj to wszystko różnorodnie wsiąka
W jedną podstawę — pożegnaj się z wieżą
I z dzwonicami, któreś sobie roił,
A jeśliś domki pobudował, spoił,

I sobie całą ułożył strukturę —
Zanieś to wszystko wyobraźni okiem

*) Sławny rysownik arabesków i snów dziwacznych. (Przyp. aut.)

Na szmaragdową cyprysami górę,
Przylep do skały... jeszcze pod obłokiem
Na samym szczycie, gdzie głazu ułomek,
Postaw forteczkę i jaskółczy domek...

Niech dym, co mnichów kominami goni,
Framugę sadzy zrobi nad klasztorem;
Niech się to wszystko kiedyś Turkom broni,
Niech teraz będzie spokojne wieczorem,
I zda się lekkiem pajęczyny włóknem,
W promieniach słońca jasne każdem oknem;

Niechaj to wszystko razem się pokaże
Nad głową twoją i za drzewy znika,
I znów, jak dziewic szpiegujące twarze,
Gdy z po za liści śledzą wędrownika
I same także śledzone ciekawie,
Znów błyska — znika — i śni się na jawie; —

A będziesz widział — nie widzisz? więc próżno!
Ja doskonalej nie opiszę rymem...
Trzeba, ażebyś wziął sakwę podróżną,
Mój czytelniku, i został pielgrzymem;
Inaczej z wielką litością i żalem
Będę o tobie myślał w Jeruzalem.

Tymczasem... co to? wieczorny skowronek
Śpiewa nad nami w obłoków błękicie?
Nie — to klasztorny na krużganku dzwonek
Już zapowiedział pielgrzymów przybycie.
Widzę na ganku dzwoniącego mnicha,
Znów karawana idzie w górę — cicha.

Oczy po takiem ciągłem wniebowzięciu
Patrzą w obłoki — a klasztor przed nami,
A mnichów trzystu sześćdziesięciu pięciu
W błękitnych szatach, z czarnemi brodami,
Snuło się w słońca złotego odblysku,
Jak rój komarów — lub mrówki w mrowisku,

Lub jak rój pszczeli — bo tak doskonale
W plastrze tynkowym porobił komory;
Tak poświdrował korytarze w skale,
Wiszącym domkom takie dał podpory;
Tyle zapasów nagromadził w doły,
Że Bóg się spyta: — ludzie wy, czy pszczoły?

Czy jakie inne i mniejsze robaki,
Co w przylepionym na skale listeczku
Nagromadziliście wina, tabaki,
Cnót po troszeczku, grzechów po troszeczku,
Czekając jasnej zmartwychwstania chwały
Gdy cicho listek odedrę ze skały?

I wy myślicie, że ja wam przepuszczę,
Patrząc na tynku odpadłego łatę,
Na korytarze wasze — co jak bluszcze
Idą na skałę kręte, węzłowate —
Na źródło wasze cudowne, na składy?
O moje małe bezpłciowe owady!

Wy, którzy świecę zapalacie jasną,
Gdy pielgrzym kładzie grosz swój do skarbony,
Nie obrazowi — lecz na miłość własną
Rzucając blaski, wy, kraczące wrony
W kraju bezpłodnym i pięknego nieba,
Gdzie się i modlić — lecz i orać trzeba!

A tażto beczka? (to wszystko Jehowa
Mówi do mnichów tam, gdzie sąd ich czeka,
A ja powtarzam tylko jego słowa)
Ta beczka, votum chorego człowieka,
Którą dał biedny — ach, nie mnie, Jehowie,
Lecz wam — za cudem odzyskane zdrowie...

I wasze głupstwo, żeście się chwalili
Z takiego daru, i wasza ciemnota —
Życie podobne do próżniackiej chwili —
I wasza grubość chłopska, nie prostota —

I wasze kłamstwa cudów — i tam dalej...
Weź, Lucyferze! niech ich piekło spali!

Tu się jednego twarz archimandryty
Odwróci, z jednem mnichów pokoleniem,
I rzeknie Bogu: „Nasz dom niezdobyty
Ibrahimowym mieczem i płomieniem,
Zniszczyłeś, Boże, a Lucyfer dumny,
Żeś odkrył pełne prochem grzechów trumny.

„A ślad na skale gmachu — jak na belce
Znak skruszonego gniazdeczka jaskółek;
A pomyśl: kiedyś, zatrwożony wielce
W naszym klasztorze lud znalazł przytułek,
Wtenczas, widziałbyś, dla mrących z przestrachu
Aniołem stróżem każdy kamień gmachu.

„I gmach się wtenczas cały w lud zamienił,
Jak Twój tron jasny mieni się w aniołów;
Tak wiele duchów, zebrał i spromienił
W Twoje podnóże i do naszych stołów
Siadało wiele — nas mnichów niegodnych,
Lecz wiele sierot płaczących i głodnych...

„I w nocy pełnej pioruna i błysku
Sam szedłem własne zapalić szpichlerze,
Co pod nogami na skały urwisku
Stały, ubrane w cyprysowe wieże;
I zapaliłem... i przy tym pożarze
Widziałem w dole białe Turków twarze.

„Potem z klasztoru patrzyliśmy mnichy
Na mur poryty ognistemi rysy,
Na dom nasz własny... już jak węgiel lichy,
I na stojące w płomieniach cyprysy,
Jak ci szatani, co tam — widzisz, Boże —
Stoją przy piekła płomiennym otworze.

„Niejeden mrący, spragniony i ranny
W ostatniej chwili — usłyszał nad sobą

Płacz brylantowej cudami fontanny,
Otworzył usta — westchnął — i był z Tobą...
Źródło, że wiecznie płakało nad ludem,
Żywych i mrących — nazwaliśmy cudem."

Wtenczas przytomny obronom szlachetnym
Na potępienie mnicha rzekłem z boku:
A owa, owa — w tysiącznym ośmsetnym
Trzydziestym szóstym (nie mylę się) roku,
Dnia trzynastego września (tak mi świeża
Data i dzień ten) dana mi wieczerza?

Lubię, gdy cichy promień słońca strzeli
W ciemną altanę — lub na sklep, gdzie *prix fixe*
Błyszczą klejnoty — lub do księżej celi
Złotym promieniem lecąc na krucyfix —
Albo na rzymskich kościołów mozajki,
Lub na błękitny dym rzucony z fajki.

Lubię, gdy pada promień złotolity
Na siwe włosy starego żebraka;
Albo na czoło umarłej kobiety,
Albo na skrzydła pływające ptaka;
Albo na róże, co wysoko niosą
Jesienne czoła błyszczące się rosą.

Lubię, gdy pada z chmur na odsłonioną
W pochmurnym rynku statuę Kopernika;
Lubię, gdy pada w nasze ciemne łono
I znów z człowieka robi słonecznika,
Za światłem życia obracając twarzą
Myśli marzące... póty, póki marzą.

W komnacie mniszej, otoczonej wkoło
Rzędem tureckich sof kwiecistej barwy,
Promień słoneczny padł na moje czoło;
I snów zwichrzone rozpędziwszy larwy,
Rozwinął znowu moje myśli senne
Na życie marzeń mglistych... całodzienne.

PIEŚŃ ÓSMA.

1. NAPOLI DI ROMANIA.

Gdzie nasz Neapol — i morze — i ganek?
Zkąd widać było dwa białe miesiące,
Zkąd widać było wybrzeże — i wianek
Białych żagielków — i światła płonące
Pod żagielkami — gdzie ostrygi szare
Ze srebrną piersią — i *frutti di mare?*

Gdzie na wybrzeżu sklepik przy sklepiku,
Żagel przy żaglu — przy świetle światełko,
I tych światełek na brzegu bez liku,
A każde swoje ma białe skrzydełko,
Jakby gwiazdeczek jakich nowych plemię,
Które skrzydłami Bóg przysłał na ziemię.

Czarowny widok — czarowne wieczory!
Ciebie zachwycał zgiełk ludzi i tęcza,
W jaką się ludzkie wiązały kolory
Nad błękitnawem morzem w pół obręcza.
Jam patrzył w księżyc — co lotem aniołów
Puszczał się w błękit — z mogiły popiołów.

Dziwnie dziś jestem w mieście — miniaturze
Znanego tobie Neapolu. Domy
Zaległe tutaj po nad morskie wzgórze,
Forteca weszła na szczyt skały stromej,
Mniejsza zaś druga w otchłań lazurową
Weszła się kąpać — jak Castel dell'Ovo.

Morze błękitne — i góry z mgłą siną,
Lecz nie tak ścięte, jako cukru głowa
Ani jak Krater..."
. . . . . .

---

2. GRÓB AGAMEMNONA.

Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtoruje myśli posępnej i ciemnej —
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona
I siedzę cichy w kopule podziemnej,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. — Jak mi smutno!

O! Jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wiecznie słychać!
Druidyczna to z głazów wielkich grota;
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry głos — ta bieli płótno!
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk, i rwie jej przędziwo.
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów — a te puchy
Chodzą i w grobie latają, jak duchy.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nadgrobowym pochowane słońcem,
Jakby mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. — Strasznym jest Rapsodu końcem
Owo sykanie, co się w grobach słyszy:
Jest objawieniem — wielką pieśnią ciszy.

O! cichy jestem — jak wy, o Atrydzi,
Których popioły śpią pod świerszczów strażą —
Ani mię teraz moja małość wstydzi,
Ani się myśli tak jak orły ważą.
Głęboko jestem pokorny i cichy
Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy!—

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;
Posadziły go wróble lub gołębie,
I listkami się czarnemi zieleni,
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza
Zerwałem jeden liść z czarnego kuszcza.

Nie bronił mi go żaden duch, ni mara,
Ani w gałązkach jęknęło widziadło;
Tylko się słońcu stała większa szpara
I wbiegło złote, i do nóg mi padło,
Z razu myślałem, że ten, co się wdziera
Blask, była struna to z harfy Homera.

I wyciągnąłem rękę na ciemności,
By ją ułowić i napiąć i drżącą
Przymusić do łez i śpiewu i złości
Nad wielkiem niczem grobów — i milczącą
Garstką popiołów! — ale w mojem ręku
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

Tak więc — to los mój, na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych;
To los mój senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych
Albo umarłych — i tak pełny wstrętu —
Na koń! chcę słońca i wichru, tętentu!

Na koń! — Tu łożem suchego potoku,
Gdzie zamiast wody płynie laur różowy,
Ze łzą i wielką błyskawicą w oku,
Jakby mnie wicher gnał błyskawicowy,
Lecę — a koń się na powietrzu kładnie,
Jeśli napotka grób rycerzy — padnie.

Na Termopilach? — Nie, na Cheronei
Trzeba się memu załamać koniowi;
Bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei
Dla malowniczych serc — podobne snowi.

Więc jeśli koń mój w biegu się przestraszy,
To tej mogiły, co równa jest — naszej!...

Mnie od mogiły termopilskiej gotów
Odgonić legion umarłych Spartanów;
Bo jestem z kraju smutnego Ilotów,
Z kraju—gdzie rozpacz nie sypie kurhanów!
Z kraju — gdzie zawsze po dniach nieszczęśliwych
Zostaje smutne pół - rycerzy — żywych.

Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wąwozowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce kruszy wstyd — w każdym Polaku.
Ja tam nie będę stał przed Grecyi duchem —
Nie—pierwej skonam, niż tam iść—z łańcuchem!

Na Termopilach — jakąbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męże nad mogiłą
I pokazawszy mi swe piersi krwawe,
Potem spytali wręcz: — „Ilu was było?“ —
Zapomnij, że jest długi wieków przedział —
Gdyby spytali tak — cóżbym powiedział?

Na Termopilach, bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza —
Ale jest nagi trup Leonidasa,
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza;
I długo płakał lud takiej ofiary
Ognia wonnego i rozbitej czary.

Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą!
Pawiem narodów byłaś i papugą,
A teraz jesteś służebnicą cudzą —
Choć wiem, że słowa te nie zadrżą długo
W sercu — gdzie nie trwa myśl nawet godziny:
Mówię, bom smutny — i sam pełen winy!

Przeklnij — lecz ciebie przepędzi ma dusza,
Jak Eumenida, przez wężowe rózgi.

Boś ty, jedyny syn Prometeusza —
Sęp ci wyjada nie serce — lecz mózgi.
Choć Muzę moją w twojej krwi zaszargam,
Sięgnę do wnętrza twych trzew — i zatargam.

Szczeknij z boleści i przeklinaj syna!
Lecz wiedz, że ręka przekleństw, wyciągnięta
Nademną — zwinie się w łęk jak gadzina,
I z ramion ci się odkruszy — zeschnięta!
I w proch ją czarne szatany rozchwycą;
Bo nie masz władzy przekląć — niewolnico!!! —

PIEŚŃ VIII.

3.

ZAKOŃCZENIE.

Nie, nie, dopóki będziesz ręką drżącą
Zakrywać piersi puste, owdowiałe,
To ja nie klęknę, nawet przed klęczącą,
Bo ja mam inną, smutną matkę, chwałę,
Co mi ociera łzy płynące rzadko,
A i tę trzecią mam, co mi jest matką.

O najbiedniejsza! tobie z pól myceńskich
Chciałbym już posłać prochów moich urnę,
Wrzuć w proch ten dwoje obrączek małżeńskich,
Zaklnij Dyannę i duchy pochmurne,
Aby ci widzieć mnie raz pozwoliły
W promieniach... jam ci był drogi i miły.

Teraz nie jestem niczem, a te mary,
Co okrążyły mnie, wzywają dalej,
I pokazują girlandy i gwary

Anielskich duchów, pójdę... krew mnie pali;
Już osądzony śpiewam jak łabędzie,
Lecz gdy cię dojdzie pieśń, co z tobą będzie!

Tyś uśmiechała się, to było wczora,
Kiedyś mię smutnym w dzień znalazła inny
Zapłakanego nad śmiercią Hektora.
Nie był to głupi płacz, ani dziecinny,
Głupsze są teraz łzy, co lecą skorsze,
Gdy wspomnę los mój, ach! łzy stokroć gorsze.

Żórawie, co tam nad Koryntu górą
Rozciągnęłyście łańcuch ku północy,
Weźcie na skrzydła moją pierś ponurą,
Zanieście z sobą, może przyszłej nocy
Kraj przelatywać będzie ta pieśń głucha,
Jak dzwon żałosny brzmiąc w krainach ducha.

Żórawie! wy, co w powietrze różane
Co rano długą wzlatujecie szarfą,
Wyście mi były niegdyś ukochane,
Wyście jesienną moją były harfą!
Wy i szumiące sosny nad grobami,
Gdzież się ja dzisiaj zobaczyłem z wami!?

A jednak... jam to przeczuł w życia wiosnę,
Że będę kiedyś nieszczęsny i błędny,
Że może z serca niedoli urosnę
I będę z duchów miał wieniec podrzędny,
I z dziką kiedyś pożegnam tęsknotą
Wasz łańcuch, zorzą pochłonięty złotą.

Dziś ta godzina przyszła, bądźcie zdrowe!
Tam Archipelag mnie woła błękitny,
Tam Korynt trzyma koronową głowę
A za Lepantem Parnas starożytny...
O Muzo moja, jakże ty pozdrowisz
Górę, gdzie siedział Apollo i Jowisz?

O romantyczna Muzo, na kolana!
Bo ja ukłony mam tu dla tej góry
Od lipy wonnej klasycznego Jana
I od śpiewaka dzieci i tonsury,
I od śpiewaka Potockich ogrojca
I cichy, łzawy pokłon mego ojca.

Ja wiem, że teraz on jest przy mnie duchem,
Ale mu twarda śmierć zamknęła wargi;
Oto mi nawet szeleści nad uchem
Figowe drzewo, jakby szmerem skargi.
Słyszę głos mi już ojca niepamiętny,
Lecz jego musi to być głos, bo smętny.

Więc smutnym głosem i niedomówionym
Pozwala czasem śmierć mówić po śmierci,
Góro, co błyskasz księżycem czerwonym,
Jak wulkan krwawy... o pęknij na ćwierci...
Boś ty wyśmiana wróblów świergotaniem,
Albo zawczesnem rannych kurów pianiem.

. . . . . .

PIEŚŃ DZIEWIĄTA.

Jest na Korynckiej górze mała grota,
Figowem drzewem od wejścia zakryta,
I tam odbiegła mię moja tęsknota;
Ztamtąd albowiem oko tęskne wita
Kraj cały, żyzny, zielony, szeroki,
Przerżnięty wstęgą korynckiej zatoki.

Nigdzie tak piękne i tak szafirowe
Morze nie świeci, jak tu w tej dolinie.
Kiedy przez szarą drzew oliwnych głowę
Oko na morze to błękitne wpłynie,
To zamyślone odwrócić się nie chce,
Tak go ten błękit rozwidnia i łechce.

A tam na prawo, gdzie drzew nagle braknie
Korynt... już myślisz... że tam kolumnady,
Jakich wzrok często północnika łaknie;
Lecz Korynt dzisiaj, to chatek gromady,
Nad niemi kolumn niewielkich wierzchołek,
A matką wszystkich kolumn ten kościołek.

Wszedłem.... w świątyni dwie młode Greczynki
Miotłami z ziemi zmiatały na kopce
Czarne od prochu korynckie rodzynki,
A na kolumnach ściętych mali chłopce,
Pasterze.... w dudki z trzcin wycięte grali,
Kilka baranów sennych i tam dalej....

Już wiesz, jakie są obrazy sielanek.....
Lecz nie widziałeś ich na greckiej ziemi.
Ten smutny kolumn już bezżennych wianek,
Te drzewa żywe, co z marmurowemi
Takiemi są tu nieraz przyjacioły,
Jak u nas lipy — z wiejskiemi kościoły...

Tu słońca krwawy blask czerwieni niwy,
Pełny baranów cień każdej kolumny,
I pełny owiec cień każdej oliwy,
A pasterz na te cienie patrzy dumny,
Bo są jak sznury pereł dla kochanki,
A w cieniu od drzew leżą owiec wianki.

Tu duch przeszłości... spokojność rozlewa
Na śpiące owce.... na pasterzy twarze.
Zefir się rzadko na trawy rozgniewa
I Jowisz rzadko tu piorunem karze.
Wszystko zamknięte na wiekowe blizny....
I w takiej ziemi być! i bez ojczyzny!

Czemuż nie jestem tu owiec pasterzem?
Czemuż nie jestem panem tej winnicy,
Panem tej chaty nad morza wybrzeżem,
Nad którą Parnas, w hełmie z błyskawicy,
Czuwa — i cicho sny bogów nastręcza,
Co się w powietrzu unoszą jak tęcza?

O słońca wschodzie wstawałbym, pobożny,
Od moich owiec raniej — od jaskółki,
Do mnieby gołąb zlatywał nietrwożny,
Z Hymetu-by się zlatywały — pszczółki,
I kładły miody w złamanej kolumnie,
Bóg byłby ze mną i spokojność u mnie.

Na mej policy... czara starożytna
I pełna wina starego amfora;
Przed chatą — jaka Najada błękitna,
Wylewająca łzy w ciszy wieczora,
Brzęcząca smutno o marmur wymyty;
Kilka drzew, kilka malw z jasnemi kity

I sad, gdzie ciemna liściami cytryna
Słońce odstrzela liściem zwierciadlanym,
Pod którą wcześnie noc już być zaczyna,
Noc sprzyjająca myślom zadumanym,
Zielono-ciemna, cicha, wonna, świeża,
Noc dla poety i owiec pasterza.

O wy, amora słudzy, wieczne duchy,
Z motylowemi skrzydłami wietrzniki...
Jabym rozesłał was gdzie na podsłuchy
I przez was wiedział natury tajniki,
I co wieczora, pijąc nektar słodki,
Strącałbym z czary — was, mówiących plotki.....

O różnych ludzkich miłościach tajemnych,
O sercach, które nie kochane — pękły,
O skarbie w straży aniołów podziemnych.
A gdybyście mi o czem smutnem jękły,
O jakim kraju, co leży w mogile,
Wziąwszy was, duchy, za skrzydła motyle,

Skąpałbym całych w czerwonym Falernie,
Malwy rozkwitłą schłostałbym łodygą,
Między różami gdzie zarzucił ciernie;
Lub wziąwszy za łeb, zrobiłbym go frygą,

Aby się kręcił, szedł w ciemne Ereby,
Że mi przypomniał smutek bez potrzeby.

Przed moją chatą przyjaciele młodzi,
Kiedy się dla nich cały baran piecze,
Pokazaliby słońcu, co zachodzi,
W piryjskim tańcu wydobyte miecze;
Przed nimi z twarzą jasną i wesołą
Grałbym na lutni i prowadził koło.

A tam na szarej kolumny ułomku
Wianek sąsiadów moich siwobrodych,
Pochyłych ludzi, przy pochyłym domku,
Dawałby ręką takt tańcowi młodych...
I przyklaskiwałby temu rymowi.
Duchy, sny, straty, starce, bądźcie zdrowi....

Czy nie widzicie? żem chory: szatanizm,
Bajronizm, siedem mnie dręczy boleści;
Wierzę w religię mas, w republikanizm,
W postęp... a nawet... wierzę w te czterdzieści
Cztery... choć nie wiem, co ta liczba znaczy,
Ale w nią wierzę jak w dogmat... z rozpaczy.

Mam także ufność wielką w jezuicką
Reakcyę... lecz się nie łączę i czekam;
Tymczasem trudnię się mową sanskrycką,
I z Europy znudzony uciekam,
Jak człowiek, co się na przyszłość sposobi
I chce przekonać ludzi, że coś robi.

Najwyćwiczeńsi w tej sztuce kłamania
Nie warci są mi rozwiązać trzewika;
Ciągle mam czarny palec od pisania
I w oczach ciągle coś nakształt płomyka
Poetycznego... ztąd mię częściej wita
Poetą — ten, co widzi, niż co czyta.

Biorę na świadki te strofy ostatnie,
Czy w nich poezyi jest choć za trzy grosze.

Nie bój się, niech je twa krytyka płatnie,
Od nieprzyjaciół moich więcej znoszę,
Te strofy są złe, powiedz to otwarcie;
Pisałem, jakbym nigdy nie był w Sparcie,

Te strofy są złe, no więc na to zgoda;
Niepoetyczne... zgadzam się i na to...
Chodźcie tu do mnie... patrz... błękitna woda
Igra pod moją kaiką skrzydlatą;
Łódka przez fale rozbudzone pędzi,
Jak najkształtniejszy z Olimpu łabędzi.

Przez nachylone żagle księżyc blady
Pokazuje mi majtki zadumane;
Stoją jak dawni rycerze Hellady
O maszt oparci... złotem haftowane
Pancerze mają i białe kapoty...
Księżyc jest na nich błękitny i złoty.

Oni umieją zostać nieruchomi,
Jako posągi, patrząc w niebo czyste,
Eol sam wichry szalone poskromi
I z żaglów muszle porobi srebrzyste,
W których się oni... na pół skryci, mieszczą,
Jak duchy — myślą wywołane wieszczą.

I cicho, i wraz... o! godzino święta,
Łódka się w morskie rzuciła głębiny,
I z jękiem nagle stanęła wzdrygnięta...
To była pierwsza fala Salaminy:
Spotkać pierwszego Polaka przybiegła,
I wstrząsła mnie tak... i jękła i legła.

A za nią inne fale z wielkim gwarem
Od brzegu biegły, szerzące wzdychania.
Jutrzenka żywym spłonęła pożarem.
Słońce... już było blizkie swego wstania;
Myślałem, że w tym wiekopomnym kraju
Stanie w piorunach, jak Bóg na Synaju.

KONIEC.

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr 46144 KS. ARCHIWALNY w Białymstoku

SPIS RZECZY.

	Str.
Godzina myśli	11
W Szwajcaryi	25
Ojciec zadżumionych w El-Arisch	41
Wacław	55
Podróż do Ziemi Świętej z Neapolu (Poemat niedokończony. 1836 r. Wydanie pośmiertne.) . .	87



15314